AS

Nr. 17.
26 KWIETNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

Łabędzi śpiew...

Fot. Nicola — Berlin.

Czy masz bujną fantazję?

Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo.

Z pośród materjałów, jakie napływają na nasz „Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo", wybraliśmy kilka najbardziej odpowiadających warunkom konkursu historyjek. Zadaniem Czytelników będzie osądzić, czy któraś z nich zasługuje na wyróżnienie. W tym celu na stronie 30 niniejszego numeru zamieszczamy odpowiedni kupon do głosowania. Przypominamy, że wyznaczyliśmy trzy nagrody: I. w kwocie zł. 100 i tytuł króla kawalarzy" — II i III po zł. 50 dla szambelanów „Jego Królewskiej Mości".

Krótkowidz.

Pewien osobnik, z powodu bardzo krótkiego wzroku, nosił binokle conajmniej dziesięć razy powiększające. Nic też dziwnego, że miał stale przy sobie mikroskop, który mu ułatwiał znajdowanie takowych.

Pewnego razu spotkała go przygoda. Jako zapalony wioślarz wybrał się do parku, gdzie na niewielkim stawie można było wynająć łódkę. W czasie wiosłowania przechylił się raptownie i w tym momencie spadły mu binokle do wody. Jednak niewiele się tem zmartwił nasz bohater, bo staw w jego oczach stał się taki mały, że bez trudu wypił z niego wodę i przy pomocy mikroskopu z łatwością odnalazł binokle.

Eustachy Pągowski.

Energiczny zegar.

U mego znajomego na kominku w jadalnym pokoju, stał staroświecki zegar, który kiedyś wybił godzinę z takim rozmachem, że stłukł przytem wazon kryształowy znajdujący się opodal.

„Król Trefl".

Gigantyczna budowla.

Grupa inżynierów światowej sławy zaprojektowała wybudowanie największej wieży świata. Przy wyborze miejsca pod budowę zdecydowano się na środek bieguna południowego dla zachowania równowagi kuli ziemskiej oraz ze względu na mniejszą siłę przyciągania ziemi.

Samą wieżę budowano dla obserwacji całej kuli ziemskiej i kierowania z jej szczytu ruchu na ziemi.

Po pewnym czasie wieżę wybudowano do tej wysokości, że stojąc u podstawy wieży, dla zobaczenia końca trzeba było wpatrywać się kilka minut wgórę, zanim wzrok dotarł do szczytu. W miarę postępu budowy trudno było już dojrzeć szczytu nawet najsilniejszemi szkłami. Budowa wieży nie ustawała mimo, iż dojazd do miejsca będącego w budowie trwał ponad 2 tygodnie. Robotnicy pracujący na wieży doszli do ogromnej wprawy. Wreszcie depesze telegraficzne nadawane z ziemi docierały do szczytu po miesiącu.

Wkońcu stracono orjentację do jakiej wysokości wieża została wybudowana, albowiem porozumienie telegraficzne było niemożliwe, ponieważ głos dochodził do szczytu wieży po pół roku, a jazda windą trwała kilkakrotnie dłużej od żywota człowieka tak, że do szczytu wieży dojeżdżał trzeci lub czwarty potomek osoby, która wyjechała z ziemi.

Z duchem czasu.

Stary optyk skonstruował szkła, których właściwością było pomniejszanie wszelkich odległości. Zapomocą tych szkieł, spacer wzdłuż Europy trwał nie dłużej niż pięć minut. Ażeby przebyć Atlantyk, trzeba było, przy użyciu tych szkieł, wziąć dobry rozpęd, jednym skokiem przesadzić ocean i znaleźć się na drugiej półkuli.

Cała tragedja tkwiła w tem, że konstruktor wykorzystując swój wynalazek chciał dostać się z Europy do Ameryki, jednakowoż za silnie przy skoku się odbił, minął w locie cel, wpadł do Oceanu Spokojnego i utonął.

W wojsku.

Odbywając służbę wojskową, przy rozdzielaniu mundurów, otrzymałem spodnie tak wielkie, że gdy je włożyłem, szukano mnie przez dwa dni bez przerwy, nim mnie znaleziono w nich.

Marjan Kowalów.

„Punkt widzenia".

Lord Ralf Coundelbury — znany w połowie ubiegłego stulecia podróżnik i sławny myśliwy — doznał wielu przygód, o których w gronie przyjaciół lubiał opowiadać.

Słuchano go zawsze z nabożeństwem, bo jego opowieści nie były tylko... „myśliwską łaciną", ale zawierały dużo cennych wskazówek dla każdego, kto umiał spożytkować jego niezwykłe doświadczenia.

Do najciekawszych należała bezwątpienia następująca przygoda, podawana przez długie lata z ust do ust w sferach „high life'u":

„Tak — była to sytuacja, w której moje życie wisiało naprawdę na włosku. — Wyobraźcie sobie — mówił lord, bawiąc się brelokiem z nagniotka faraona Tutmozisa 512-go — że lew, za którym daremnie przez cały dzień uganiałem wśród dżungli, czekał na mnie poprostu u wejścia do mego namiotu, kiedy zmęczony i osłabły z trudów wracałem pod wieczór na spoczynek.

Widok ten zelektryzował mnie do tego stopnia, że nie zdawałem sobie sprawy ze strasznego niebezpieczeństwa. Lew oddalony był odemnie zaledwie na 30 stóp i gotował się do skoku!

Zamiast sięgnąć za karabin — chwyciłem z myśliwskiego przyzwyczajenia naprzód za lunetę, aby się bestji dokładniej przypatrzeć.

I to mnie uratowało!

Oto zamiast przyłożyć lunetę do oczu węższym otworem — obróciłem ją i popatrzyłem na lwa przez... odwrócone szkiełka. I co powiecie?... Lew stał się tak mały i... tak daleki, że z lekceważeniem machnąłem ręką, bo strzał na taką odległość nie mógł dać żadnego rezultatu.

Od tego czasu — ciągnął lord pouczająco — uciekałem się nieraz w poważnych sytuacjach do tego niezawodnego środka, a sztukę „oddalania niebezpieczeństwa przez odpowiednie nastawienie punktu widzenia" doprowadziłem do takiej doskonałości, że teraz potrafię robić to nawet bez lunety!..."

W. B.

Wylęgarnia samochodów.

Pewien jegomość przewoził autem kopę jaj. Nie mając miejsca przy sobie na siedzeniu umieścił je z boku tuż pod motorem i ruszył z miejsca. Gdy już stanął u celu idzie po jaja. Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył, że z jaj pozostały tylko skorupy, a zamiast kurcząt poczęła wyjeżdżać z pod motoru cała gromada młodych aut. Cóż się stało? Oto jaja, znalazłszy się w atmosferze wielkiego ciepła, przeszły naturalny proces i wydały ze siebie całą gromadkę młodych aut, rzecz prosta, gdyż ciepło macierzyńskie pochodziło od samego auta. W momencie kiedy cała gromadka stanęła na nogach, macierzyste auto podniosło wszystkie koła do góry i zgarnęło gromadkę pod siebie. Nie było już jednak miejsca na najmłodsze auto, które też, nie mogąc znaleść ciepłego kącika pod skrzydłami samochodowej kwoki, wyskoczyło na grzbiet budy, jak się to i w życiu między kurczętami zdarza, uzupełniając w ten sposób idealny obraz kurzego macierzyństwa, każdemu z nas z podwórka tak dobrze znany.

Nik.

Och, Karolku, Karolku...

Mój przyjaciel, Karolek, odznacza się nieprzeciętną namiętnością. „Śledziówka" była dla niego nocą szaleństwa, a że go najdroższa właśnie opuściła, zalewał niezgorzej robaka. Wyszedł tedy biedaczek z knajpki lekko podgazowany i nieco roztkliwiony. Mieszkał za miastem i idąc, natknął się wkrótce na słup telegraficzny, który użyczył mu pewnego oparcia. Rozrzewniony wdzięcznością, począł go ściskać, całować i tak się doń mizdrzyć, iż obsługująca tę linję telegrafistka miała pogryzione wargi, rozdartą suknię, zakochała się w nim na zabój i krótco wyszła za niego zamąż.

Fred. Asten.

Zmiana kolorów.

Pewna bardzo ekscentryczna dama, sprowadziła sobie prosto z gorących piasków Afryki czarnego, jak smoła, murzyna. Dumna, woziła go wszędzie ze sobą, a on spełniał nienagannie obowiązki służącego. Wkrótce jednak czarna postać znudziła się damie i postanowiła go wybielić, nie mając serca wyrzucać go. Kilka kilogramów pudru, kremy wybielające i inne tym podobne środki zawiodły. Doprowadzona do pasji, dama zawołała murzyna i wymachując pejczem, tupiąc nóżkami, kazała go wybielić wapnem. Okazało się to jednak zbyteczne, gdyż biedny murzyn z przerażenia zbladł, jak kreda...

M. T. Mukułowska.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 17 **Niedziela 26 kwietnia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 17-GO:

Fot. Vitello — Roma.

Zwycięski pochód italskich wojsk w Etjopji, pochłonął już hekatomby ofiar — żołnierzy ginących dla chwały nowego Imperjum Romanum. Setki tysięcy Włochów krwawi na polach bitew w Abisynji — moloch wojny sięga po coraz to nowe ofiary. To też jedną z najważniejszych rzeczy w przygotowaniu i organizacji „tyłów" armji włoskiej była należyta organizacja italskiego Czerwonego Krzyża. W tej ciężkiej i odpowiedzialnej pracy biorą udział panie z najwyższych sfer Italji. Ostatnio wyjechała z Neapolu do Abisynji księżna Piemontu, małżonka włoskiego następcy tronu, by wziąć osobiście udział w samarytańskiej misji. Na zdjęciu dostojna małżonka księcia Humberta w towarzystwie królowej Heleny, w chwili, gdy wsiada na statek.

1000 lat



W ŻELAZIE

Tysiąc lat... ależ to za mało! Czyż greckie i rzymskie legjony nie walczyły już zgórą dwa tysiące lat temu w pięknych, stalowych hełmach, czyż nie ochraniały swego ciała mocną tarczą i błyszczącą srebrną zbroją? Czyż to uzbrojenie wojenne sprzed dwóch tysięcy lat tak bardzo się różni od naszego współczesnego hełmu wojskowego i pancerzy, używanych n. p. przez naszą policję?!

Mowa jednak jest tylko o lat tysiącu, o tym ostatnim tysiącu, który minął od czasu, gdy pierwsi wojowie Polan budowali swe państwo u brzegów Kruszwicy, do chwili dzisiejszej. Te dziesięć wieków walki o Polskę wielką, niepodległą, żyje w wielkiej „Świątyni Polskiego Oręża", jaką jest Muzeum Wojska w Warszawie; ktokolwiek, wiedziony tęsknotą poznania nieśmiertelnych blasków przeszłości, wstąpi w progi tego Muzeum, może jedną chwilą spojrzenia, jedną minutą skupienia, objąć całe tysiąclecie. Odnaleźć je dziś...



Współczesny hełm stalowy przypomina swą powagą średniowieczne szyszaki.



Jan III w pancerzu z łuski srebrnej i szyszaku według współczesnego obrazu.

Oczywiście mowy być nie może, by w krótkim feljetonie opisać całokształt zbiorów. Nie sposób omówić nawet tej jednej drobnej ich części, jaką jest szyszak wojenny. Należałoby o tem napisać całą książkę, całą rozprawę naukową. — Ograniczymy się do dokładnego obejrzenia reprodukowanych fotografij, które ilustrują — oczywiście nie we wszystkich szczegółach — historję hełmu wojennego w wymienionem tysiącleciu na ziemiach polskich i obcych.

Dlaczego wybrałem hełm, a nie inną część zbroi? Otóż hełm jest najstarszą i najpopularniejszą częścią uzbrojenia ochronnego Przechodził w ciągu swych dziejów ewolucję — może nie radykalną, lecz napewno najbardziej malowniczą i doskonale charakteryzującą dany okres historyczny. Hełm żołnierzowi jest najbliższy, — chroni wszakże jego głowę, centralę nerwów i życia. Hełm nosili wojowie już wówczas, gdy nagie ciało osłaniali do walki tylko kawałkiem skóry zwierzęcej, hełm nosi żołnierz współczesny, choć napozór wobec

Poniżej od lewej: Hełmy przeszłości: 1) t. zw. „łebka" z XV wieku, 2) szyszak bronzowy z X wieku, znaleziony w okręgu kubańskim, 3) jeden z najstarszych szyszaków polskich, ok. XI wieku, znaleziony pod Kaliszem, 4) hełm średniowieczny z „straszliwą" przyłbicą, używany celem przestraszenia przeciwnika, 5) i 6) hełmy „karne", używane przy karaniu rycerzy średniowiecznych, zamykane zzewnątrz na kłódkę.









Obok: Zbroja i hełm karacenowy z początków XVIII wieku

Na lewo: Zbroja husarska z XVII wieku z charakterystycznemi skrzydłami i skórą lamparcią.





Od lewej: 1) hełm szturmowy z czasów wielkiej wojny, rozerwany odłamkiem granatu, 2) Hełm pruski „pikielhauba" z lat 1914 — 1915, 3) i 4) hełmy kirasjerów i karabinierów z epoki Napoleona I. 5) Kask szeregowca Wojska Polskiego z r. 1819.

wysokiego rozwoju broni chemicznej, wydaje się on ochroną bez zastosowania.

W zbiorach naszych zabytków historycznych nie posiadamy niestety oryginału najstarszego hełmu słowiańskiego; badania jednakże ustaliły, że już u przedhistorycznych Słowian hełm, jako ochrona głowy był znany. Hełm sporządzony był wówczas z grubego drutu, skręcony stożkowato od poziomu czoła ku szczytowi głowy. Górny koniec drutu sterczał wysoko w górę; przyczepiano doń chorągiewkę.

Wszystkie najstarsze szyszaki odnalezione na naszych ziemiach w grobach i wykopaliskach, a pochodzące z wieku IX-go, X-go i XI-go są już hełmami o pewnym odrębnym stylu i o solidnej, mocnej budowie. Były to hełmy stożkowate, zakończone u góry „szyszem" z chorągiewką. Znamiennem jest, iż wszystkie znane nam z tych czasów okazy są bogato i artystycznie zdobione, nawet złocone, czego w owym czasie u sąsiednich ludów europejskich nie spotykano. Szyszak taki był niewątpliwie w ówczesnych czasach przedmiotem drogocennym i zapewne nosili go tylko zamożniejsi rycerze. Ten typ szyszaka utrzymał się aż do XII-go wieku włącznie.

Od połowy XIII-go wieku datuje się rozwój hełmu w kierunku jego wzmocnienia i lepszego przystosowania do walki. — Hełm zakrywa nietylko szczyt głowy, ale również i całą twarz. Ponieważ nie wynaleziono jeszcze podnoszonej przyłbicy, budowano hełm z jednego kawałka żelaza z otworem na oczy. Hełm taki, zwany „łebką", był zatem bardzo ciężki i niewygodny w użyciu. Najbogatszy rozwój hełmu, jeśli chodzi o stronę techniczną, przynosi wiek XV. Do hełmu dodaje się przeróżne „nosale", osłaniające nos, „nauszniki" i „podbródki", osłaniające szyję. Prócz hełmów bojowych są w tym czasie szeroko rozpowszechnione specjalne szyszaki turniejowe bądź lżejsze do walki na kopje i maczugi bądź cięższe do walki na miecze. Niektóre z nich były to formalne twierdze przyśróbowywane do zbroi. Wojska polskie nie używają w tem stuleciu jednakże jakichś własnych typów hełmów, wzorując się na przykładach sąsiadów z Zachodu.

Dopiero wiek XVI, epoka naszej, na całą Europę słynnej husarji, przynosi wspaniały rozkwit zbroji rycerskiej wogóle, a przytem i nieodzownej jego części — szyszaka. T. zw. „kapalin husarski" — to forma szyszaka specyficznie polska, nie spotykana wśród rycerstwa innych krajów. Przetrwał on jako uzbrojenie ochronne około 200 lat. Drogocenniejsze kapaliny były istnemi arcydziełami sztuki. Były one kute z jednej sztuki, posiadały ruchomy „nosal", szeroko rozszerzony i nauszniki. Pokrywano je gęsto bogatemi ozdobami rytowanemi i złoconemi, a szczególnie herbami rodowemi.

Następuje okres zaniku hełmu jako ochrony głowy, a to w związku z rozwojem broni palnej. Wojsko, które równolegle ze stroną praktyczną dbało jednakże zawsze, i niemal w równym stopniu, o barwę i efektowność umundurowania, nie rezygnuje jednakże z metalowego szyszaka jako nakrycia głowy. Powstają najrozmaitsze czaka ułańskie, hełmy skrzydlate z grzebieniami w stylu klasycznym, hełmy dla żandarmerji i t. p. bogato przyozdabiane piórami, skrzydłami i futrem. Wśród zbiorów Muzeum Wojska znajduje się z tych czasów niezwykle efektowny kask szeregowego z czasów Księstwa Warszawskiego, jaki nosił ówczesny pierwszy pułk piechoty.

Lata przed Wielką Wojną to krótki okres czasu, w którym hełm wojskowy, jako bojowa ochrona, jest zupełnie nieznany: jako ozdoba systematycznie zanika. Odrodzenie hełmu przynosi drugi rok Wielkiej Wojny, kiedy to w roku 1915 armja francuska, jako pierwsza z armij wojujących zastosowała hełmy dla swej piechoty. Dziś niema na świecie armji nowocześnie uzbrojonej, której żołnierze nie posiadaliby hełmu — uważanego oczywiście nie za ozdobę, lecz za konieczną ochronę. Należy przypisać to odkryciu, iż kula karabinowa przebija hełm stalowy tylko w tym jedydym wypadku, gdy pada nań pionowo. Kula, biegnąca ukośnie, a także odłamki szrapneli, najczęściej powodujące rany na głowie, odbijają się od nowoczesnego hełmu, nie uszkadzając ciała. Hełmy są oczywiście niezwykle starannie fabrykowane i posiadają grubość około 12 milimetrów.

...Od tysiąca lat walczą żołnierze na tej samej ziemi, zakuci w stal.

Minęło dziesięć długich wieków. Lata mijają, ale historja się nie zmieniła. W historji wszystko powtarza się od dziesięciu wieków...

Roman Burzyński.



Zbroja i hełm husarski z herbem Aleksandrowiczów, koniec XVII wieku. Zbroja bogato zdobiona i złocona.

DUMA ITALJI — „BALILLA"

„Kroki dłu-u-u gie! Kroki dłu-u-u-gie! Raz! dwa! Raz, dwa!". Oficer faszystowski w galowym mundurze, przepasany na piersiach błękitną, „uroczystościową" szarfą, wydaje słowa komendy miarowo, głosem skandowanym — niby wystrzały. I sam nadaje w takt marsza długość kroków młodym awangardzistom. Za nim wyciągają się w długi krok szeregi muskularnych, gołych nóg chłopięcych. Pierwsze szeregi — to chłopcy ośmio, dziewięcioletni.



Na prawo: Poświęcenie pomnika organizacji młodzieży włoskiej „Balilla" na Forum Mussoliniego.

Poniżej: Oddziały „Balilla" i „Piccole Italiane" zebrane pod Colosseum przed rewją na Via del'Impero



Mussolini dokonywuje przeglądu wychowanków faszystowskiej Akademji Wychowania Fizycznego na Forum Mussoliniego.



Dziecinne twarze są pełne napięcia i skupienia: chwila jest przecież poważna: defilada. Krótkie karabinki ciężą, mimo wszystko, napewno niemało, a dźwiga się je przecież już sporo czasu. Najpierw była zbiórka oddziałów, potem przemarsz z swej dzielnicy na miejsce rewji, potem długie oczekiwanie, potem przegląd oddziałów przez komendanta Ricci i — wreszcie — punkt kulminacyjny — przemarsz przez via del'Impero, ustawienie się na placu Weneckim i wysłuchanie przemowy Duce.

Trwa to od południa do 6-tej wieczorem. Młodociani wychowańcy idei militaryzacji Europy mają czerwone, zroszone potem twarze. Ale ambicja nie pozwala okazywać znużenia, zresztą codzienna zaprawa sportowa dużo znaczy. Więc wyciągają nogi w krok długi, elastyczny, ostro stawiając stopy w podkutych bucikach. Raz, dwa! Raz, dwa! Po bokach ulicy stoi publiczność, a głównie koledzy, którzy nie mogli wziąć udziału w paradzie. Ci robią największą owację — (Uwaga, chłopcy! Teraz n a s z oddział! Bić brawo!). Ale nie szczędzi owacji i reszta publiczności, zachwyconej postawą młodzieży, jednolitym ubiorem, świeżością twarzyczek, wyrazem oczu!

Rewje na via del'Impero to już oczywiście nie nowość dla Rzymian. Ale nie można się dziwić, że za każdym razem spieszą na te rewje tłumy: pękny, podniecający lub — podnoszący ducha „teatr", w którego urządzaniu Włosi są mistrzami, wart jest oglądania. Więc: tło, dekoracja jedyna i oryginalna — szeroka, prostą linją biegnąca via del'Impero, obramowana po obu stronach dziwnie malowniczemi, jakby „ustawionemi" ruinami forum i świątyń. Na końcu, jak klamra wspaniała — łuk Colosseum zamyka ulicę. Tu i w przyległych ulicach grupują się oddziały, przeznaczone na rewję, stąd też wychodzą. Kończy się zwykle rewja na placu Weneckim, gdzie tłumy, zwrócone twarzą ku historycznemu balkonowi, domagają się ukazania znanej sylwetki. Ukazanie się poznają nawet najdalej stojący po charakterystycznym geście oparcia rąk na balustradzie balkonu, po geście powitalnym wzniesionej ręki. Wtedy to już, jak wiatr, jak burza, wzmaga się krzyk i owacje. „Duce, Duce, Duce!".

Trzeba odrzucić wszelkie refleksje — bo i cóż to zresztą pomoże? Wszelkie myśli o wojnie i pokoju, a poprostu, razem z tą rozgorączkowaną, rozentuzjazmowaną publicznością patrzeć na wspaniały widok. 50.000 młodzieży! 50.000 młodzieży obchodzi uroczystość 10-lecia organizacji Balilla (Balilla — według podania — to pseudonim chłopca, który przyczynił się do wzniecenia powstania przeciw Austrji w 1746 roku podczas wojny sukcesyjnej austrjackiej). Oczywiście, nie jest to wszystko. Organizacja liczy $5^{1}/_{2}$ miljona, gdyż należą do niej prawie wszystkie dzieci w wieku szkolnym przymusowo. — Chłopcy — do „Balilla", dziewczęta — do „Piccole italiane" (małe włoszki). Chłopcy starsi, w wieku od 14 do 18 lat, mają organizację jeszcze inną: o typie bardziej wojskowym — Avanguardia. Tym sposobem c a ł a młodzież włoska ćwiczy, cała ujęta jest w szeregi organizacji o typie wojskowo-sportowym.

Oczywiście — i dziewczynki. Tu mają Włoszki równouprawnienie, które tracą natychmiast z chwilą, kiedy dorastają i kiedy „mogłyby" mieć prawa polityczne. „Piccola italiane" maszerują w dzisiejszej rewji na czole pochodu — damy przedewszystkiem! Białe bluzeczki, czarne spódniczki, białe pończoszki, czarne berety. W dzień chłodniej-

Poniżej: Młodociana członkini organizacji „Piccole Italiane" oddaje ukłon faszystowski.



KĄCIK FILATELISTYCZNY

Wymieniajmy znaczki.

Jeden z naszych Czytelników rzucił projekt, abyśmy w ramach „Kącika Filatelistycznego" zamieszczali adresy zbieraczy, którzy pragnęliby uzupełniać swe zbiory drogą wymiany. Nie ulega wątpliwości, że wymiana jest właśnie najidealniejszym sposobem, w jaki pragnie się zdobywać brakujące dotąd sztuki, chodzi tylko, aby znaleźć się w jak najszerszym kręgu osób, mających podobne zamiary.

Istnieje cały szereg klubów międzynarodowych liczących setki członków i posługujących się szyfrowanemi znakami, podawanemi przy każdem nowem nazwisku, a oznaczającemi, jakie znaczki dany filatelista chce otrzymywać. Pozatem dany klub ma swoją „czarną listę", to znaczy podaje do wiadomości, który z jego członków dopuścił się w czasie wymiany nieuczciwości.

Wobec tego, że nie zamierzamy (może się to jednak zdarzyć) zorganizować podobnego klubu, nie będziemy również powołani do zamieszczenia „czarnych list" — natomiast przypuszczamy, że nieraz znajdą się w liście nazwisk, przesłanych pod naszym adresem osoby z tych samych miast, które będą się mogły poznać nawet osobiście. Nadsyłanie nam jakichkolwiek referencji jest bezcelowe, będziemy umieszczać maksymalnie: imię, nazwisko, zawód, adres i drobne dane o znaczkach, jakie dany zbieracz chce wymieniać. Oczekujemy więc przesyłania nam tych szczegółów, zaznaczamy jednak zgóry, że nie bierzemy żadnej odpowiedzialności.

300-lecie szwedzkiej poczty.

Podobny jubileusz uzasadnia rzeczywiście wydanie całej serji i pragnęlibyśmy, aby i niefilateliści raczyli czasem zwrócić uwagę na to, że znaczki mówią często więcej o przeszłości lub teraźniejszości aniżeliby się to zdawać mogło.



Serja znaczków pocztowych, wydana z okazji 300-lecia poczty szwedzkiej 5 öre — kanclerz Aleksander Oxenstjerna 15 öre — poczty ljon szwedzki, 20 öre—szwedzki żaglowiec z XVII w. 30 öre dyliżans pocztowy z początku XIX w., 35 öre — królewski herb szwedzki.

Oto kanclerz Oxenstjerna, który nietylko był wielkim politykiem, ale i organizatorem, skoro za jego sprawą 3 wieki temu zaprowadzono w Szwecji po raz pierwszy służbę pocztową. Na znaczku za 15 öre widzimy pierwszego posłańca, używającego tradycyjnej tylko dzisiaj, trąbki pocztowej, na innym zaś 20 öre pierwszy okręt, który przewoził pocztę ze Szwecji na Pomorze! Dyliżans z trochę późniejszej epoki jest już może więcej znany, a tak pospolite obecnie: pociąg pospieszny, parowiec i samolot, które widnieją na najwyższych wartościach nie zasługują na reprodukcję. Serja składa się z 12 sztuk w kolorach: 5 öre — zielony, 10 — fioletowy, 15 — karminowy, 20 — niebieski, 25 — ultramarynowy, 30 — bronzowy, 40 — oliwkowy, 45 — zielononiebieski, 50 — szary, 60 — purpurowy, 1 korona — niebieski. Format (z brzegiem) 37×41 mm, ząbkowanie tylko pionowe (4 najniższe wartości także i obustronne) ujmuje trochę zewnętrznego efektu znakomicie przedstawiającym się markom. (Egzemplarze reprodukowane ze zbioru W. P. St. Kadłuczki).

Francja wydała znaczek dobroczynny na cele organizacji. Nansenowskiej za 50+10 c. przedstawiający statuę Wolności w Nowym Jorku. (Podarowaną ongiś przez Francję Stanom Zjednoczonym).

Dodatek Michla notuje znaczki F. I. S. 30 — RM. **W. H.**

---

szy — czarna, brzydka peleryna, którą jednak potrafią nosić ze specyficznym szykiem. I, proszę popatrzeć! — one również stawiają nogi w równym, wyćwiczonym kroku, mocno wpierając stopy w bruk via del'Impero. Po bokach oddziałów maszerują nauczycielki, ubrane w „mundur" kobiet faszystowskich: czarny płaszcz, czarne buciki, czarny beret, białą bluzę i rękawiczki. Raz, dwa! Raz, dwa!

Za szeregami małych Włoszek — oddział, który wywołuje huragany oklasków. To wychowanki Faszystowskiej Akademji Wychowania Fizycznego. Śliczne uniformy granatowo-białe, dumna, ładna postawa, zgrabne, dziewczęce sylwetki — znajdują ogólne uznanie. Potem — kilka oddziałów kobiet-faszystek „Donne fasciste". Idą — wiele już niemłodych — jakby podkreślając: tak, to nasze dzieci, my to aprobujemy, tak właśnie być powinno.

Wreszcie — chłopcy, najpierw Balilla, potem awangardziści. Ci ostatni demonstrują swe całkowite przygotowanie do służby wojskowej. Oddziały motocyklistów, rowerzystów radjotelegrafistów, obrony przeciwgazowej. Pochód zamykają szeregi oficerów milicji faszystowskiej.

Wszystko to — cała przeszło 50.000-na masa ustawia się malowniczo na placu i schodach pomnika Wiktora Emanuela. Czarno-biało ubrani tworzą desenie kwadratów i prostokątów. Z oddziałów chłopięcych lecą w górę czapki, a młode głosy skandują: „Duce, Duce".

Z chwilą ukazania się wodza na balkonie — jak na komendę biało-czarne oddziały dziewczynek zakwitają chorągiewkami trójbarwnemi. Las małych rąk trzepocze się kolorowo w słońcu. Co za widok pięknie obmyślony, dobrze wyreżyserowany! I jak akord harmonijny z całością były też pierwsze słowa Mussoliniego: „Wasze okrzyki biegną ku memu sercu — to pozdrowienie wiosny...".

Była wiosna, była młodość... Ale zaraz potem usłyszeliśmy: „Wasi bracia walczą teraz zwycięsko w Afryce... Jeśli jutro Ojczyzna zażąda od was wysiłku heroicznego — przygotowujcie muskuły i serca...".

Tak, więc nie zapominajcie o wojnie! Mimo wiosny, mimo waszą młodą, radosną młodość! *I. J.*



Przyjemny dzień pana Piwki

Mieczysław Smolarski.

NOWELA

Od pół roku już niemal stary lisowczyk imć Piwko mieszkał na wsi u miecznika Rzeczyckiego, swego przyjaciela, lecz czuł się bardzo nieszczęśliwym.

Niejeden z jego komilitonów, którzy razem z nim się w świecie wsławili, do dygnitarstwa nawet doszedł, on krzepkość oddawna utracił, co miał lub zdobył, przepuścił i w cerowanym żupaniku teraz oddawna chodził.

Nawet dawny druh, któremu serdecznie sprzyjał, niezbyt po ludzku go traktował, raz w okrutnej pasji bez powodu śmiercią mu zagroził. Raniono go jednak w Łęczycy w pojedynku, więc imć Piwko został na wsi z ekonomem jeno, prawie jako gospodarz. Szkoda tylko, że w trzosiku nie miał nic.

Ale oto los dziś niespodziewanie miał doń słodkie oczy uczynić.

Na trzy strzelenia łuku od dworu stała w lesie odwieczna kaplica, a koło niej rósł dąb.

Rósł jak rósł, kwękał chyba, bo jak ostatni dziad wyglądał. Jednym tylko konarem się zielenił. Pień także miał piorunem obdarty. Może i za świętego go miano za pogańskich czasów, ale teraz to już bylejakie mchy się na niego pchały. Chłopi opowiadali, że srogie skarby są pod nim zakopane.

Wielki smak na nie miał imć Piwko, ale kopać się wstydził. Podobało mu się też drzewo, bo jakieś smutne bardzo i ciche było. Prawie jak serdeczny brat. Spoglądało na wesołe sosny i brzozy, młodość może wesołą wspominało. Wiewiórka nigdy na nie nie wskoczyła, ptak rzadko siadł na jedynej gałęzi. Bez dzieci stało, bez wnuków. A przecież żywe jeszcze, choć w łachmanach.

Obchodził je już szlachcic wiele razy. Aż dziś prawie niechcący wsadził rękę w dziuplę. Próchno tam było nieprzyjemne i wilgotne, ale szperał palcami i szperał bardzo głęboko. Właściwie nie spodziewał się, że coś znajdzie. Ale co straci? No i wreszcie jakiś większy, mniej rozłażący się przedmiot namacał. Strzęp skóry. Może z woreczka?... A potem trzy monety duże i okrągłe. Aż chrząknął ze wzruszenia. Zapleśniałe były, że strach. Więcej nic nie wygrzebał.

— To ci skarb! Bogacz go schował! — zaśmiał się, ale był rad. Może jednak te pieniądze są coś warte? — Wytarł o trawę, bo połę szatki szanował i odskrobał trochę z śniedzi nożykiem. Srebro! Wcale miło zalśniło.

Dopiero po powrocie do dworu starannie oczyścił. Dość ciężkie monety były, ładnej roboty. Podobiznę Ludwika Węgierskiego nosiły, który krótko w Polsce panował. Swoją wartość w srebrze litem jeszcze miały. Dobre i to. Zacny dąb. Dziad na dziadem się zlitował.

Wprawdzie te trzy stare talary to i co? Ubiorek już się do reszty drze, deszcz w butach żółtych ciurka. No, ale jak w trzosiku metal brzęczy, to i wraca fantazja.

Wielką energię i radość życia Piwko poczuł, łudził się nawet, że odmłodniał. Dwa pieniądze na osobiste ekspensy zatrzymał, trzecim coś dobrego zamierzył zrobić. Wiedział nawet, kogo nim obdarzy.

Zaraz popołudniu wyszedł w pole. Kręcił się i kręcił, aż Wojtusia ubogiego pastuszka zobaczył, jak fujarkę sobie pod wierzbiną kończył strugać. Skinął na niego z oddali.

— Naści — rzekł, wsadzając mu w dłoń lśniącego talara.

Chłopiec aż zmienił się na twarzy.

— O Jezu! Tyle pieniędzy! A za co?

— Znaj dobrodziejstwo moje — odrzekł szlachcic z wielką wspaniałością. Świat za to możesz kupić albo i lekko całą Rzeczpospolitę przebyć. A za co?

Wyjął chłopcu fujarkę, wsadził sobie pod pachę:

— Grać na niej będę, tylko do reszty ją okrzeszę.

Chłopiec rymnął mu do nóg:

— Dobrodzieju mój!

Piwko położył mu rękę na jasnych, jakby pszenicznych włosach. Wzruszył się, ale nagle odskoczył:

— Ruszajże teraz precz, bo jeszcze powiedzą, że z tobą coś spiskuję.

Wrócił powolutku do dworu. Siadł na ganku i obejrzał fujarkę. Nożyk wyjął, bo jeszcze sporo dłubać było trzeba.

Uśmiechnął się:

— Talera za to paskudztwo dałem. Niezłą mosiężną trąbkę mogłem sobie za taki grosz kupić.

Przytknął ją jednak do warg, dmuchnął i choć mokre jeszcze drzewo było, jaki-taki ton wydała.

W OAZIE TARHUNA...
(Trypolitania)

Słońce grzało, z lasu wołała zdaleka kukułka, gdzieś przed domem pogwizdywał kos, więc i właściciel fujarki wziął udział w tej kapeli.

Ongi i on lubił śpiewać. Kiedy to było? Młodość wtedy czuł w sobie i wierzył w przyrodzoną krwi szlachetność. Z boju do domu wrócił. Nikt go wtedy jeszcze zbójem nie nazywał. Bardzo łatwo można jedną z tych starych melodyj sobie przypomnieć. Zaczął przebierać po dziurkach palcami i śpiewać:

Powracam otóż Kasienko
W rodzinne szlaki,
Zboże, nie sięgnąć go ręką,
I kwitną maki...

Tak w on dzień popołudniu Imci Piwko muzykował wespół z kosem, z kukułką i okrutnie było mu dobrze, bo nie miał obok siebie największego swego przyjaciela, miecznika.

Później też mu się poszczęściło.

Już dzień nocy od świata klucze oddał i cisza się uczyniła, jeno żaby w bagnach rechotały, kiedy czarci tabun jakiś przed dwór zajechał z wrzaskiem, trzaskiem, z pochodniami.

Na czele czeredy gnał turecki kozernik w turbanie i coś po pogańsku głośno hałłasował. Zaraz każdy mógł poznać, że to nie uczciwi chrześcijanie, ale djabli, smołą podochoceni, strojno i czeladnie jadą.

Chudy szlachcic do łóżka kłaść się już zamierzał i pacierz odmawiał, który nie tak dawno sobie przypomniał, ale słysząc hałas, krzyk, tętent i parskanie koni, zerwał sie na równe nogi i z latarką olejną przed drzwi pośpieszył.

— Kto zacz? — zapytał.

— Smorczewscy bracia jesteśmy. Z lubelskiego pod Kutno na wesele familijne jedziem. U miecznika pragniem przenocować. Jakże zacny komiliton się miewa. Kawał drogi do niego skręcilim.

— Niema go tu, mości panowie. W pojedynku okrutnie ranion został. Wstaje już, ale jeszcze z Łęczycy, gdzie cyrulik go kuruje, nie powrócił.

— Taki gracz! A któż go pokrajał? Ale o tem dowiemy się i później, a tymczasem cóż my poczniemy, asindzieju? Konie pomęczone, inośmy je pod samym dworem dla fantazji popędzili. Brzuchy mamy głodne, o traktament jednak nie prosimy, bo prowjanty z sobą wieziem. Siana choć daj. Legniem chętnie i w stodole. Jutro do miecznika pojedziem. Wie on, że niemałośmy się w swoim czasie napracowali, by urząd dostał. Niechże tu choć nocleg najdziem...

Różni hulacy w Goszczędzy nowiną nie byli, zaś imć Piwko honor domu znał. Dowiedział się już zresztą, że dobrych znajomych przyjaciela ma przed sobą.

— I łóżka dla Waszmość Panów przygotujem i wina do pieczeni znajdziem i słomy na pościel dla czeladzi. Gospodarza tu zastępuję, któryby mi nie darował, gdybym panów bracię w nocy odprawił.

Huczny wjazd i we wsi słyszano, więc nietylko zaraz pojawiła się służba, ale i hajducy z folwarku przybiegli, zapinając dołmany i spodnie, śpiesznie wdziane, paskami obciągając, by snać po drodze ich nie zgubić. Uroczyściej się zaraz i spokojniej zrobiło, tylko kozernik jeden wciąż wył, póki zmilknąć mu nie kazano.

— Przygłupi trochę jest — udzielili bracia informacji. — W łeb szablą dostał, jak pod Chocimem w niewolę go brano. Czasem to i przez pół dnia bez zmysłów kręckiem chodzi, więc z litości jeno go trzymamy i do parady bierzem. Srodze lubi pokrzykiwać.

Widać było ze stroju i ekwipunku, że niebylejacy kawalerowie w gości zjechali. Jeden z nich laskę, wstęgami pięknie przybraną, w ręku trzymał.

— Rózgę weselną na fest wieziem dla marszałka, by z nią tańce poprowadził. W Warszawie na jego prośbę kupilim. Wesoło trzy dni będziem hasać. Nie żal dlatego i szmat świata przewędrować. Kto wie, czy wkrótce nie pójdziem na Turka i śmierć za gardło nas nie ściśnie, niechże więc jeszcze użyjem żywota.

Ręce i twarze zaraz obmyć chcieli. Przy stole potem w bawialni zaproszeni usiedli, zimne mięsiwo z wozu, noże i widelce, przynieść kazali. Pudło z wódką też chcieli otworzyć, ale gospodarski substytut im nie pozwolił, i owszem sam gąsiorek i kieliszki oraz wędzoną szynkę z dzika podać polecił.

Od kieliszka do kieliszka. Bracia pili, jak smoki i nic po nich znać nie było. Piwko też dziś o wstrzemięźliwości zapomniał, zwłaszcza, że do kompanji był niewolon.

— Waść zatem się Piwo zwiesz? Znaczna to familja.

— Nie Piwo, ale Piwko. I nasza też kondycja nie taka znów bardzo mizerna.

— To szkoda, bo my Piwów powinowaci i z krewniakami wypić miło. A Waść w jakim tu bawisz charakterze?

— Jako socius wojenny Rzeczyckiego.

Z szacunkiem się przyjrzeli:

— To już sławnym musisz być hultajem! Chybaś jednak dowcipem i chytrością nadrabiał, bo jak szczapa coś wyglądasz.

— Może się tam kiedyś, Waszmościowie, i brzucha trochę miało, ale żyło się bez troski o zdrowie i hulało. Obóz też sterał i nieprzyjaciel zły cyrulik, zawiele nieraz krwi wytoczy. Nie chciejcież wątpić jednak, że gdybym w boju się jeszcze znalazł i surmy zagrały, nie brakłoby mi dawnego animuszu.

— Pewnie, dobra krew nie wytrzyma, choć i stara szkapa też skoczy, gdy mosiężne trąby posłyszy.

Połknął jakoś imć Piwko wątpliwe pochlebstwo, zwłaszcza, że panowie bracia nie chcieli mu ubliżać i postarali się przykrość załagodzić.

— Nieraz chudy człowiek od grubasa w garści krzepciejszy, a eksperjencją stary wojownik więcej od młodzika osiąga. Polityczny Waść jest, możeś i po dworach wielkich bywał, boś bardzo przylepny w kompanji. Źleś jednak uczynił, tyle dobrego wina nam dając, bo myśleliśmy przedtem jeno od odpoczynku, a oto sen nas odbiegł. Cóż poczniem z sobą? Do tańca nikogo niema prosić, może zagramy?

Imć Piwko trochę w głowie miał, więc w pierwszej chwili nie odmówił:

— Kości będziem rzucać?

— A w karty Waść nie umiesz? Bardziej pański azard.

— W straszaka kiedyś grałem...

— Toś i nasz! Doświadczenia twego wojennego popróbujem.

Nowiutkie karty mieli i w mig je z jakiejś kieszeni wydostali. Do zapalonych widocznie kosterów należeli.

Piwko teraz dopiero się zastanowił, że przy straszaku zaraz pieniądze trzeba kłaść, a on jeno dwa odwieczne talary posiada. I znów będzie goły, jak je przegra. Znane przecież przysłowie pouczało: Kto gra w karty, ma grzbiet i łeb obdarty. Tak długo ma swój nędzny dostatek czekał i odrazu może go stracić. Ale nie mógł się już cofnąć:

— Te dwa talary dla zabawy postawię — rzekł i stuknął pieniędzmi pod stołem, jakby je z wielkiego wora wydobywał.

— A cóż to za numizmaty? — ryknęli bracia ze śmiechem, aż się zatrzęsło. No, ale zgoda. Dla ciebie to, panie bracia, uczynim, że je przyjmiesz za dukata.

Rzucili złotem. Może imci Piwkę, marny żupan jego widząc, za coś w rodzaju dworskiego oficjalisty mieli i chcieli za suty poczęstunek się odwdzięczyć.

Raz i dwa. Obaj przegrali. Trochę się zapalili, bo namiętność raz podekscytowaną trudno szulerowi wstrzymać. Ale panu Piwce dobrze dzisiaj szło. Wygrał, trochę przegrał, wygrał, aż trzydzieści dukatów strojni goście, jak nic, przerżnęli.

Trochę zmarkotnieli, choć szkody wielkiej nie poczuli. Obejrzeli się na siebie.

— Lepiej już będzie, jak spróbujem spać — rzekli. — Zaczarowane chyba tu pieniądze ktoś postawił.

— Honor mi, waszmoście, zróbcie i na pamiątkę sobie oba talary weźcie.

— Chyba odkupim, bo bardzo osobliwe. Dołożyli jeszcze, odeszli okrutnie kontenci i całą noc śnili, że z temi inkluzami na nic gości na weselu ograją. Ale imć Piwko z wrażenia nie mógł zasnąć. Dawniej nie byłby się martwił, co z niespodziawanem bogactwem robić, ale teraz bardzo spoważniał i biedy się nacierpiał. Przewracał się więc tylko na wąskiem łóżku i przewracał.

— W garśćbym sobie chuchał, jeślibym pieniądze zmarnował. Buty długo jeszcze mogę nosić, jeno podeszwy i obcasy trzeba nowe zrobić. Żupanik dziurawy mam i wyświechtany, więc modny do stanu z leszczyńskiego sukna każę sobie uszyć z pętelkami po szyję. Pięknie będę wyglądał.

Aż z radości przysiadł na łóżku, lecz znów do poduszki się przyłożył.

— Konika też mógłbym, choćby szkieleta węgierskiego pod siodło sobie sprawić, ale mój dereszr dobry jeszcze, choć stary. Jeść wiele nie może, więc i niekosztowny. Koszul i gatek mi trzeba, przeto płótno zaraz jutro w Łęczycy nabędę i dziewki za grosze mi uszyją. Ale co zrobię z resztą?

Za oknem było ciemno, choć gwiaździsto. Wiatr trochę wiał. Cienie drzew tajemniczo się poruszały.

— Grzechy mam! — jęknął naraz.

Zjeżyły mu się włosy, bo uległ złudzeniu, że znów pojawi się przed nim widmo bieckiego mieszczanina, którego w czasie pokoju za opór w Bieczu zabił.

Nakrył się kołdrą po czub głowy i czekał. Ale nic. Wyjrzał ostrożnie. Żadnej zjawy w izbie nie było.

— Proboszczowi najlepiej pieniądze dam — rozmyślał. — Jeśli miecznik kiedyś precz mnie wygna, to od księdza odbiorę, jeśliby jednak nagła śmierć spotkać mię miała, to niech przyzwoisty pogrzeb mi zrobią i msze za duszę odprawiają. We wszystkich parafjach koło Goszczędzy.

I wydało mu się, że już nie żyje, lecz zgóry patrzy. Gdzie dojrzy, z wież biją dzwony. Chybotają się, kołyszą i głoszą, że umarł lisowczyk Imć Piwko, że pochowan jest skruszony, żałujący, ale ze szlachecką godnością i splendorem. Wrogów ojczyzny bijał, nieprzyjaciół wiary gromił, krwi w potrzebie nie żałował, więc Bóg i ciężkie winy mu w wielkiej łaskawości odpuści i przyzna niebieski indygenat.

— Niechby Bóg choć do czyśćca mnie dopuścił — westchnął.

Zakołysało mu się w głowie od tych dzwonów i usnął...

TUSZORYTY
J. Dziewałtowskiego-Gintowta.



Przybyły z Syberji do Polski w r. 1922 artysta-malarz J. Dziewałtowski - Gintowt poświęcił się malarstwu, a zakochawszy się w romantycznym uroku Wilna, wydał niedawno tekę, złożoną z piętnastu charakterystycznych widoków grodu Gedymina i Mickiewicza. Artysta, posługuje się wynalezioną przez siebie oryginalną techniką graficzną, którą nazwał tuszorytem. — Tuszoryt powstaje w ten sposób, iż artysta powleka szklaną taflę równomiernie tuszem, poczem wyskrobuje rylcem rysunek i rozciera odpowiednie płaszczyzny dla wydobycia żądanej tonacji. Wyzyskanie lśniącej szklanej płyty kontrastującej z matowością powierzchni powleczonej tuszem stwarza oryginalne czarno-białe harmonje. Niestety dzieło powstaje w jednym egzemplarzu. Artysta znalazł jednakowoż sposób powielania zapomocą fotografji. Łączy więc monotypję z fotograficzną odbitką. W ten sposób otrzymuje większą ilość odbitek, powielających wiernie i w tych samych tonacjach i wymiarach oryginał. Kompozycyjne ujęcie architektury wileńskiej przez Gintowta jest oryginalne, a pewne plansze, jak brama klasztoru Bernardynów, lub fragment kościoła św. Jana, mają wybitne walory czarno-białej sztuki. Wydane przez Dziewałtowskiego-Gintowta album, oraz widokówki odtwarzające wiernie graficzne zalety tuszorytu, są niewątpliwie artystyczną propagandą przepięknego Wilna, tak drogiego sercu każdego Polaka. **m. d. d.**



Wieża kościoła Bernardynów w Wilnie. Tuszoryt.

Kościół św. Anny i Bernardyński w Wilnie. Tuszoryt.



Na lewo: Ostra Brama w Wilnie. Tuszoryt.



Na prawo: Ulica św. Ignacego w Wilnie. Tuszoryt.

Życie w kluczu wiolinowym.



Słynny dyrygent i artysta Adam Dołżycki.

Dwadzieścia pięć temu, na Dworcu Śląskim w Berlinie stanął 21-letni młodzieniec ze skrzynką, zastępującą walizkę i 100 koronami w kieszeni. Młodzieńcem tym był Adam Dołżycki.

Początkowo miał zostać skrzypkiem; 14 lat pracy nie dały jednak rezultatu. Palce nie chciały „chodzić". Trzeba było dużo hartu, żeby zrezygnować z tej drogi. Zamiłowanie do muzyki skłoniło młodzieńca do studjów kompozycyjnych. W tym też celu przybył do Berlina.

Co zdecydowało jednak o przerzuceniu się Dołżyckiego z kompozycji do karjery dyrygenta?

Jak zwykle w życiu, przypadek.

Dołżycki, po całodziennem szukaniu, znalazł pokoik *„dla służącej za 8 Mk miesięcznie z kawą"*. Zmieściło się tam zaledwie wąziutkie łóżko, krzesło i pianino. Tam rozpoczął on pracę, uczęszczając jednocześnie do Kaiser-Akademie. Pewnego dnia spotkał go na ulicy znany dyrygent Sewilski. Był to rok 1909, krótko po przybyciu Dołżyckiego do Berlina. Stan zewnętrzny młodego człowieka świadczył, że ten człowiek rzadko kiedy miał do czynienia z pieniędzmi. 23 marki musiały pokryć wszelkie jego zapotrzebowania materjalne i duchowe.

— Co się z tobą dzieje, jak ty wyglądasz? Dołżycki opowiedział wytwornemu panu w cylindrze swoją historję.

Po paru dniach spotkali się znowu.

— Czy chciałbyś dyrygować? — zapytał Sewilski.

— A jak się to robi?

— Przyjdź do mnie, ja ci pokażę!

Od tej chwili los Dołżyckiego był zadecydowany.

Rozpoczął od dyrekcji w małym niemieckim chórze, później zaproponowano mu stanowisko dyrygenta chóru polskiego „Harmonja", liczącego 160 osób. 60 marek miesięcznie stanowiło majątek dla człowieka, żyjącego niemal pierwotnie pod względem materjalnym. Pierwszy koncert Dołżyckiego odbył się w roku 1910, w setną rocznicę urodzin Chopina. Kontakt z berlińską Polonją i wielkie wyrobienie patrjotyczne spowodowały, że Dołżycki do każdego koncertu wplatał jeden utwór polski. Coraz większy mir wśród rodaków i powodzenie wśród publiczności, podyktowały raz młodemu dyrygentowi słowa w przedmowie do programu, za które go policja przez pewien czas ścigała.

Oto ustęp, który ściągnął na Dołżyckiego gniew władz bezpieczeństwa: ...„Chopin dał promienny dowód, że naród, w którym się taki genjusz objawił, zginąć nie może! Przeciwnie, w duszy genjusza powinien czerpać przeświadczenie niespożytej swej siły, widzieć świt lepszej doli i... zwycięską przyszłość!".

* * *

Dołżycki pracował pod kierunkiem Brucha, Gerusheima i studjował w Meisterschule u Humperdincka. Zaliczał się też do grona uczniów wielkiego Nikischa.

Młody dyrygent, któremu fortuna zaczęła się po latach klęski uśmiechać coraz bardziej, urządzał koncerty dwa razy do roku, skupiając wówczas całą emigrację polską. Moniuszki III akt „Halki" i „Sonety Krymskie", Różyckiego „Anhelli", „Litewska Rapsodja" i „Odwieczne pieśni" Karłowicza, oto repertuar, który podtrzymywał ducha polskiego na obczyźnie.

Pewnego dnia przyszły trzy oferty: z Monachjum, Bonn i Warszawy. Zwyciężyła ta ostatnia. Kto wie, jakiemi drogami poszłoby życie Dołżyckiego, gdyby wtedy wybrał niemiecką ofertę.

Lata wojny spędził Dołżycki, dyrygując koncertami i operą w Moskwie, Baku, na Kaukazie itd., poczem po krótkim pobycie w Warszawie, został dyrektorem opery poznańskiej, a od r. 1924 znowu kapelmistrzem opery warszawskiej.

Skomponował operę „Krzyżacy", wystawioną w Poznaniu, „Madeja Zbója" oraz balet „Janosik, król Tatr".

Jako pedagog, instynktownie wyczuwa talenty i poświęca im całą swą niespożytą energję i wiedzę. Jako dyrygent, potrafi pracować po 10 godzin bez przerwy, umie natchnąć artystów własnym entuzjazmem i wydostać z nich najszlachetniejsze pierwiastki.

* * *

W dniu swego jubileuszu Dołżycki dyrygował „Tannhäuserem" w Operze warszawskiej.

Dlaczego właśnie wybrał tę operę?

Żeby przełamać pecha, jaki mu towarzyszy od lat, ilekroć dyryguje tą operą.

Pięć razy chwytał za pałeczkę dyrygencką, by poprowadzić orkiestrę w tej wspaniałej operze wagnerowskiej, i tyleż razy spotykały go niepowodzenia, a nawet nieszczęścia.

Kiedy pierwszy raz dyrygował, zrobił mu ktoś złośliwość. W „Tannhäuserze" odzywają się w pewnym momencie w II akcie za kulisami trąbki. Znak trębaczom daje specjalny kapelmistrz za kulisami, dyrygent bowiem nie może tego zrobić. Znak ten oczywiście musi być dany w odpowiednim momencie, w przeciwnym bowiem razie orkiestra może się pomylić i do końca aktu będzie... kakofonja! Tak było na owem przedstawieniu Tannhäusera.

Drugim znów razem orkiestra przestała nagle, z niewiadomej przyczyny grać w środku aktu, tak, że dyrygent musiał przerwać grę od pewnego miejsca i rozpocząć na nowo.

W 1924 roku w Łodzi orkiestra znów rozpoczęła tegoż „Tannhäusera" grać na dwa różne takty; znów kompromitacja!

O czwartym wypadku Dołżycki mówi niechętnie, gdyż podczas, gdy dyrygował w teatrze wspomnianą operą, spotkało go nieszczęście rodzinne; o tem jednak nie można pisać.

Piąty wreszcie wypadek zakończył się dla dyrygenta tragicznie. W dniu, gdy miał być wystawiony „Tannhäuser", Dołżycki uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. W domu nastąpiła eksplozja gazu i Dołżycki zmuszony był dyrygować wieczorem z obandażowanemi rękoma i głową. Wskutek eksplozji bowiem spaliły mu się całkowicie włosy i poparzyły ręce.

Był to drugi niesamowity splot wypadków w życiu Dołżyckiego. Poprzednie „fatum" wyglądało następująco:

Kiedy Dołżycki sprowadził się do wspomnianego na początku tego artykułu pokoiku, gospodyni nic mu nie wspominała o poprzednim lokatorze marynarzu. Ponieważ kobiecina lubiła muzykę, proponowała młodemu muzykowi dodatkową kawę popołudniu wzamian za zagranie jakiegoś pięknego utworu. Pewnego razu tak się rozczuliła, że przyniosła drewnianą walizeczkę i ofiarowała ją Dołżyckiemu ze słowami: „Niech pan i to zabierze. Nie mówiłam panu wprawdzie o tym wypadku, bo nie chciałam pana zrażać do pokoiku, ale ten marynarz, co tu przed panem mieszkał, powiesił się tu właśnie i zostawił walizkę: są tam dwie koszule i kołnierzyki kauczukowe, może się to panu przyda".

Jak powszechnie wiadomo — pozostałości po wisielcu przynoszą szczęście.

Tego samego dnia Dołżycki spotkał Sewilskiego i rozpoczął swą karjerę dyrygenta!

B. Si.

WIOSNA NAD BAŁTYKIEM... →
Fot. Dr. P. Wolff.



OSTATNIA NOC
na koralowej lagunie



Odkrywca nieznanych lądów — James Cook.

U dołu: Wojenny okręt angielski z XVII wieku.



Właśnie Kenynak wygramolił się na burtę „Endeavour". Stanął nagiemi stopami na rozpalonym pokładzie. Zatoczył się — bo statek opadł z fali. Kenynak walnął głową w bloki. Czarne, jak piekło prosię, które dziki trzymał pod ręką zakwiczało przeraźliwie. Nadbiega wachtowy.

Czego Kenynak chce? On przyniósł ze sobą prosię. Dobre, młode prosię. Może dostanie coś za nie?

Biali 300 lat temu byli lepszymi kupcami, niż dziś. To też na statku ekspedycji naukowej było wiele rzeczy do sprzedania lub zamiany. Kenynak ogląda noże, ale wszystkie są za małe. Dziki chce posiadać bardzo duży. Pokazuje miarę, kładąc palce na parapecie burty. Clerke obiecuje, że każe wykuć odpowiednią broń. Będzie gotowa jutro.

Kenynak zostawia prosię i znika jak cień za burtą. Słychać plusk wioseł.

Jednocześnie zgraja dzikusów na brzegu uradziła, by zabrać Anglikom jedną z ich łodzi.

I jednocześnie jakiś dziki obżera się na pokładzie żaglowca przy stole kapitana Cooka. Skończył. Otarł ręką zatłuszczone usta i zapytał „ni w pięć ni w dziewięć", czy kapitan Cook może mu pokazać blizny po ranach na swem ciele. Cook podniósł z uśmiechem rękaw koszuli i pokazał długą, czerwoną szramę na prawej ręce. Oczy krajowca zaiskrzyły się.

— A ten — wskazał na oficera. — Czy ma znamię?

— Nie! Oficer nie był nigdy ranny.

Wargi Hawajczyka wyginają się pogardliwie.

Cook zaledwie 2 lata temu odnalazł w bezmiarze wód Oceanu Spokojnego wyspy Hawajskie i ufał krajowcom. Ponadto był ostrożny. Ufność była zresztą dobrą metodą.

Na brzegu, gdzie Anglicy posiadali punkt obserwacyjny i instrumenty, stoi na straży kilkunastu żołnierzy. Słońce leje się gorącym strumieniem na rozchybotane srebrne fale i niedaleką ziemię. Powietrze przesycają nieznane odgłosy. Przyroda w swej nieruchomości — wydaje się być gotową do skoku. Czy może się coś wydarzyć?

Nadchodzi noc. Czarna jak atrament, nieprzenikniona, pełna krzyków, ptasiego łomotu skrzydeł, fałszywych alarmów. Żołnierze nie śpią.

Ta właśnie noc ma być początkiem wszystkich dalszych wydarzeń. Krajowcy, zgubieni w nieprzejrzanych czeluściach omdlewającej nocy, kradną wielką szalupę angielską, stojącą na kotwicy. Stało się to nad ranem 14-go lutego 1779 r. Cook woła drugiego oficera.

— Proszę wziąć szalupę, ludzi i zająć wschodni punkt na zatoce. Uważać na łodzie i kanoe. Nie strzelać...

Inny oficer zajął pozycję po przeciwnej stronie zatoki. Cook zdaje sobie sprawę, że tego rodzaju wydarzenia, jak kradzież łodzi — mogą stać się precedensem do jawnej rewolty. Działa więc natychmiast.

Tego ranka oficer stojący na wschodnich wodach zatoki zauważa jakąś łódź pod żaglem. Puszcza się za nią w pogoń, ale łódź jego jest zbyt powolna. Nie dogonił podejrzanych.

Wobec tego, że poszukiwania i kontrola wybrzeża mogłaby się przeciągać zbyt długo, Cook zamierza wziąć na swój pokład króla Tereeoboo i zatrzymać go aż do odnalezienia się łodzi.

Jest siódma rano. Cook schodzi na ląd. Towarzyszy mu oficer i sześciu ludzi. Łódź pozostaje przy brzegu — naprzeciw wioski Kewaroah. Tłum krajowców otacza Cooka i jego żołnierzy. Ci dzicy, półnadzy ludzie nie wyglądają dziś bynajmniej łagodnie. Zmieszane głosy, jak pomruk dalekiego oceanu — falują złowrogo.

— Czego chce wielki kapitan — pytają Cooka synowie króla i zaraz zapewniają, że ich ojciec śpi jeszcze.

Cook bez słowa odpowiedzi zmierza ku domowi władcy. Hawajczycy niepokoją się. Cook wyprzedza ich i rozkazuje swemu oficerowi, aby udał się do pokoju Tereeboo i wyjaśnił o co chodzi. Posłaniec ginie za wzorzystą materją, zasłaniającą wejście.

Dzień robi się coraz gorętszy i gwarniejszy. Wychodzi król. Rozumie o co chodzi kapitanowi. Ubolewa, dziwi się, gestykuluje, ale zgadza się udać na pokład żaglowca.

Tłum Hawajczyków uzbrojonych, wrogich, wspaniałych w swej nagiej dzikości — otacza teraz cały dom.

Naraz zjawia się ktoś — i opowiada podniesionym głosem, że marynarze angielscy zabili wodza Kareemo. Kobiety, które były przy łodzi na brzegu i rozmawiały z marynarzami, widziały to...

Cook nie zwleka dłużej. Bierze króla pod ramię i daje znak żołnierzom, by torowali drogę ku morzu. Odległość od rozpluskanych fal wynosi pięćdziesiąt kroków.

Teraz wypadki zaczynają postępować w błyskawicznem tempie. Królowa, dotychczas stojąca na uboczu, wpada w szał. Atak jej rozpaczy i orgja przeraźliwych dźwięków i wołań o litość udziela się tłumowi i rozpłomienia jak pożar.

Królowi robi się nagle słabo i z dziecinną naiwnością udaje mdlejącego. Jest nieszczęśliwą, słabowitą ofiarą przewrotności białych ludzi.

Nawet ci, którzy nie wiedzieli o kradzieży łodzi są już teraz przekonani, że dokonuje się jakiś gwałt, że zapanował teror — tem gorszy, iż niczem nieuzasadniony. Teror złośliwy. Więc prosty wniosek: trzeba się bronić...

Kacyk Koho rzuca się z nożem w ręku na oficera. Ten odpycha go strzelbą. Dziki chwyta za lufę i chce wyrwać broń z ręki białego. Cook otrzymuje uderzenie kamieniem i odpowiada wystrzałem z małego pistoletu. Ale kula odbija się od trzcinowej tarczy krajowca i nie czyni szkody.

Zapanował zgiełk. Napadnięci i napastnicy szamocą się w ścisku. Na kapitana-odkrywcę sypią się razy kijów. Pada kilka strzałów. Jeden z krajowców zostaje zabity. To pogarsza sytuację. Hawajczycy podnieceni przeraźliwym krzykiem kobiet, zasypują Anglików gradem kamieni. Tłum rosnący z każdą chwilą napiera na żołnierzy. Czterech marynarzy dociera naresz-

cie bez tchu do szalup. Porucznik jest ranny, lecz także szczęśliwie dobiega do łodzi. Cook pozostaje sam. Stara się się uspokoić rozwścieczony tłum. W tej chwili dzida, wyrzucona ręką krajowca, przebija ciało kapitana. Cook upada na kolana, zlewając krwią odkryty przez siebie ląd...

Ale rana nie jest groźną. Kapitan może się jeszcze uratować. Łódź czeka na niego.

Lecz nie! Kapitanie jesteś zgubiony! Oto podbiega olbrzym Nooah, i wbija w plecy rannego długi nóż. Cook upada twarzą w piasek ocieniony wiotkiemi pióropuszami palm. Podnosi wykrzywioną z bólu twarz. Jest o dwa kroki od brzegu i łodzi, w której siedzi pięciu ludzi. Niema szans. Ci ludzie nie mogą zmierzyć się z falangą dzikusów. Wiosła uderzają o wodę. Łódź oddala się. Głowa kapitana Cooka z związanym na karku warkoczykiem opada powoli na zapoznaną ziemię.

Hawajczycy walą się masą na słabnące ciało wielkiego żeglarza...

* * *

Łódź z ocalałymi żołnierzami kołysze się niedaleko brzegu. Anglicy pozbawieni są broni i amunicji. W tych warunkach nie mogą marzyć o odbiciu ciała swego kapitana.

Porucznik King, który strzegł w pewnej odległości punktu obserwacyjnego, instrumentów i żagli „Endeavour" posłyszał strzały. Zbiera swych żołnierzy. Chce iść z pomocą, lecz nagle sam zostaje otoczony przez wojowników.

Atakuje więc i po kilku strzałach udaje mu się wejść do łodzi w dobrym ordynku wraz ze swymi ludźmi i całym sprzętem okrętowym.

Taki przebieg miały wydarzenia u wybrzeży hawajskich w dniu 14 lutego 1779 r.

Oficerowie — bezpośrednio po tragicznem zajściu odbyli naradę na pokładzie „Endeavour". Postanowiono bezwzględnie odebrać ciało kapitana i ową nieszczęsną szalupę, która stała się przyczyną tragedji. Podejrzewano, że Hawajczycy podnieceni wypadkami będą chcieli znów zaatakować. Z drugiej jednak strony nie można było sądzić, aby król Tereeoboo był złej woli. Sądzono, że poprostu poddał się nastrojowi tłumu. Pojawienie się kapitana i śmierć jednego z kacyków pokierowały bieg spraw w ten sposób.

Wreszcie King wydał rozkaz zejścia na ląd. Przygotowano dwie łodzie, dobrze uzbrojone. W łodziach tych załoga podeszła do wybrzeża, na którem roiło się od krajowców. Można było sądzić, że są zdecydowani odeprzeć każdy atak Anglików.

Wtedy to King podnosi białą flagę ku górze.

Przed szeregi Hawajczyków występuje napuszony kacyk i wysłuchuje spokojnie żądań Anglików, które brzmią:

— Oddać ciało naszego kapitana!

Kacyk obiecuje dać odpowiedź. Anglicy czekają. Mijają godziny, przychodzi noc. Na lądzie błyskają światła rozpalonych ognisk. W górze gwiazdy — w koło aksamitna noc i cisza.

Następnego dnia porucznik Gore mianowany zostaje kapitanem „Endeavour", nocą zaś podpływa do burty okrętu kanoe. Na pokład wchodzi dwóch krajowców, którzy pozostali wiernymi wielkiemu kapitanowi. Mówią, że przynieśli ważne wieści.

Złowroga cisza zalega pokład. Krajowcy wręczają kapitanowi Gore parę podartych szmat i kawał mięsa...

— To wszystko, co pozostało po kapitanie Cook.

Ciało zostało porozrywane w kawały przez dzikich. Częściowo spalone. Król Tereeoboo otrzymał głowę i kości. Brzuch i płuca złożono w ofierze złym bogom podczas ponurej mszy.

Tak podzielono ciało wielkiego odkrywcy ziem na drugiej półkuli, który w swem życiu odbył aż trzy podróże naokoło świata. James Cook (1728-1779) podczas pierwszej swej wyprawy zbadał wyspy Towarzyskie i stwierdził

Poniżej: Rybak z wysp Hawajskich podczas połowu.





Droga automobilowa w Parku Narodowym na Hawai.

wyspowatość Nowej Zelandji. Podczas drugiej zaś zbadał Hebrydy, odkrył nową Kaledonję, wyspy Fidżi i wyspy arktyczne.

Życie tego żeglarza było ustawiczną wędrówką po nieznanych terytorjach, po białych płaszczyznach ówczesnej mapy.

* * *

Dowódcy żaglowca „Endeavour" zaprzestali po owej nocnej wizycie krajowców — wszelkich pertraktacyj z mieszkańcami wyspy. Żądza zemsty ogarnęła przemożnie serca wszystkich marynarzy.

Nazajutrz rano statek podpływa do wybrzeża. Armaty oddają kilka salw niszczących wioskę. Po strzałach marynarze schodzą na ląd i ruszają do ataku. Na ich drodze płonie wioska. Wielu krajowców okupuje śmiercią tragedję kapitana Cooka.

Wreszcie posłowie hawajscy proszą o pokój i 20 lutego kacyk Eappo zwraca załodze resztki zwłok kapitana. Następnego dnia oficerowie zamykają doczesne szczątki Jamesa Cooka w skórzanym worku i po uroczystej ceremonji spychają je do morza.

Statek obraca się rufą do lądu i pod pełnemi żaglami wychodzi na morze.

Tak zakończyła się ostatnia, rozpoczęta w r. 1776, wyprawa kapitana Cooka, który szukając przejścia z Oceanu Spokojnego na Atlantyk, odnalazł Hawaje, wyspy ocienione wysokiemi palmami, wyspy, które miały się stać jego zgubą...

* * *

W niespełna sto lat po śmierci wielkiego odkrywcy, najsławniejszego żeglarza Jamesa Cooka — Thomas Cook założył pierwsze na świecie biuro podróży, które zaczęło wozić pasażerów i towary szlakami tak niedawno odkrytemi.

Biuro Thomasa Cooka istnieje do dziś jako światowa organizacja i zdołało swą chwalebną organizacją dostatecznie osłabić urok podróży i zatrzeć wrażenie wypraw i wielkości kapitana Cooka, pochowanego na koralowym dnie hawajskiej laguny.

I. M. Brzeski.

Na prawo: Hawajska tancerka wykonywuje prastary taniec „Hula".



U dołu: Londyński pomnik Jamesa Cooka, odkrywcy wysp Hawajskich.



Z lodu na zieleń murawy...



W Oakland (Kalifornja) istnieje specjalna szkoła instruktorek hokeja na trawie. — Zdjęcie przedstawia moment z lekcyj.

Na wiosennej murawie boiska w Dahlem pod Berlinem mknie biała piłeczka... wślad za nią sunie rząd rosłych dziewcząt, w których rękach połyskują w słońcu bielą jesionu zakrzywione kije...

Piłeczka toczy się wprost do stojącej na krańcach boiska bramki, której strzeże dziwaczna postać, w odrutowanej masce i wysokich, mięsistych ochraniaczach na smukłych, pięknych nogach...

Na czoło biegnącej grupy wysuwa się dziewczyna w białych shortach; dwoma skokami dogania piłeczkę i ruchem sierpowym swego kija skierowuje ją na out. Postać w bramce, która przez tych kilka denerwujących sekund czaiła się na tle żelaznej siatki, pochylona w stronę nadciągającego ataku, teraz wyprostowała się i znowu zastygła w oczekiwaniu...

Tymczasem gra przeniosła się na środek murawy. Linja walczących postaci wydłuża się powoli i jeden jej koniec, falując to w lewo, to w prawo, zaczął się zbliżać do przeciwległej bramki... Jeszcze sekunda, a biała piłeczka zatrzepoce w jej wnętrzu. Ale to tylko złudzenie. Dopadają do niej dwie zwinne dziewczyny, na których piersiach złoci się w błękitnem polu lew, idący do ataku z mieczem w potężnych łapach. Nie na żarty herb ten zdobi oryginalne shorty holenderskich zawodniczek, które już w następnej minucie zagrażają bramce rosłych Węgierek. Te walczą z zaciętością, i mimo rozpaczliwej obrony przegrywają wkońcu to spotkanie w katastrofalnym stosunku bramek 0:7.

Kolonja węgierska i liczni sympatycy jej narodowej reprezentacji kobiecego hokeja na trawie — widocznie przygnębieni, opuszczają trybuny berlińskiego „Hockey-Clubu". Tymczasem następne drużyny wybiegają na boisko i gra o mistrzostwo w wielkanocnym turnieju międzynarodowym toczy się dalej...

Tych kilka godzin, spędzonych w Dahlem, na skąpanych w promieniach wiosennego słońca szmaragdowych trawnikach najpotężniejszego niemieckiego klubu hokeja ziemnego, utrwala w nas sympatję dla tej, może jednej z najpiękniejszych gałęzi wszechwładnego dziś sportu.

Myśl nasza biegnie do kraju, gdzie niestety hokej ziemny nie cieszy się popularnością, choć w swych założeniach kryje nietylko możliwości pierwszorzędnych, optycznych wrażeń, ale i zasadniczych wartości wychowawczych, przedewszystkiem dla młodzieży. Te wartości zostały już dawno ocenione i zrozumiane przez społeczeństwa państw zachodnich. Toteż np. w Anglji ilość klubów hokeja ziemnego osiągnęła, nie licząc drużyn szkolnych i wojskowych, imponującą liczbę 1500, a w Niemczech dawno przekroczyła 506. Jakże mizernie wygląda w porównaniu do tych cyfr nasz stan posiadania, który legitymuje się liczba zaledwie szesnastu klubów!

J. L.





Fragmenty meczu między drużyną niemiecką i holenderską na międzynarodowym turnieju hokejowym w Berlinie.



Gorący moment pod bramką Węgierek na jednym z meczów międzynarodowego wielkanocnego turnieju hokejowego w Berlinie.



Na lewo: Studentki jednego z uniwersytetów kalifornijskich odpoczywają po uciążliwej rozgrywce...



Na prawo: Bramkarka drużyny węgierskiej w czasie meczu z Niemkami w Dahlem pod Berlinem.

NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

SPÓJRZ W MOJE OCZY...

TANGO

MUZYKA:
TADEUSZA JANKOWSKIEGO.

NADNIEMEŃSKIE KSIĘSTWO CZETWERTYŃSKICH...


Stary zamek Tyzenhausów w Żołudku.

Jest w parku Żołudzkim, zdala od biegnących serpentyną ścieżyn, w cieniu drzew rozłożystych, nad dziko płynącym strumieniem, co z gór uprawnych pól spływa, stara ławka kamienna. Nie dziś ją tu stawiano i nie dzisiejszy kamieniarz datę, stalowym dłutem w nie wyrył. A. D. 1823.

Mchem porosły litery i pleśń, co od wilgoci palm spływa, wypisała na szarym kamieniu dziwne znaki, które pisał na ławie tej mijający czas.

Już dzisiaj nikt nie szuka na niej wytchnienia, gdyż nowe parkowe pawilony dla księstwa i księżniczek w bardziej słonecznej stronie parku wybudowano, rzadko kto tam zachodzi i dawno już stara ława nie słyszała słów starej romanzy, które kiedyś tutaj szeptano:

„Potok płynie doliną.
Nad potokiem jawory
Tam ja z tobą Justyno
Słodkie pędził wieczory".

Dziś w ciepłe wieczory przedwiośnia, brzęczą tylko rozedrgane w złotych promieniach budzącego się życia owady.

* * *

Żołudek to odmienna magnacka sadyba. Ziemi lidzkiej pas najżyźniejszy sobie wykrawując, przez leniwy nurt Niemna przepływa, by tam zaniemeńską puszczę we władanie swoje objąć. Szesnaście i pół tysiąca dziesięcin w granicach swych ziem zamyka z czego na las lwia część, bo do piętnastu tysięcy hektarów przypada. — Tyzenhauzom we władanie oddana, tym samym co to pierwsi przemysł włókienniczy w Polsce zakładają, a od dobrego króla Stanisława, za zasługi dla Rzeczypospolitej poniesione, baronją kurlandzką nagrodzeni zostają. Jużci, że od tej epoki Żołudek, conieco folwarków pogranicznych się wyzbywa, dziś jednak jeszcze sam sobą państwo udzielne stanowiąc z którem księstwa suwerenów zachodu, w paragon iść mogą. Drogą sukcesji od Tyzenhauzów na Uruskich przypada... by dziś we władaniu książąt Czetwertyńskich, dobra swym panom i okolicy przysparzać.

Na piątym kilometrze od małej stacyjki kolejowej, droga leśna ku rezydencji prowadzi.

Wsparty ścianą północną białej swej budowli, o park angielski, dziś dziko porastający wznosi się pałac piętrowy o zamkowych wykuszach, przedwojenna księstwa rezydencja. Wielka burza nad światem szalejąca i jego nie oszczędziła. Wspaniałe posadzki i stiuki artystyczne legły w gruzie, a maruderzy najróżnorodniejszych i różnojęzycznych armij, jedynie li tylko ściany i dach pozostawili. Dziś nie stanowi on mieszkania swych panów, pozostawiony na smutne i samotne dogorywanie Czasem tylko, latem, gdy młódź w goście zjeżdża, w dolnych pokojach organizuje się prowizoryczne pokoje gościnne. Księstwo (książę Ludwik i ks. Róża z Radziwiłłów Czetwertyńscy) zamieszkują dziś biały domek murowany, tonący w gęszczu kwiecia w obrębie domów administracyjnych. Tuż opadał, obumierającego pałacu, sen o przeszłości śni stary zameczek Tyznhauzów. Parterowa zaledwie budowa, o zameczkowej wieżycy, solidnie w kamieniu i cegle montowany, o skromnej kokieterji angielskiego gotyku, jest nieodrodnym dzieckiem, zabawkowej groteski epoki rokoko. Na metalowej blasze, jak proporczyk zawieszonej na szczycie wieżycy widnieją cyfry i imię „Tyzenhauz".

A dalej poza sadybą obejmującą poza folwarkiem, dom zarządu głównego i lokale ad-


Arab pełnej krwi „Jaxa" — chluba żołudzkiej stadniny.


..folwarki są tam centralami hodowli rasowego bydła.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. FELIKS DANGEL — WILNO.



Nowy pałac żołudzki, niezamieszkały spowodu zniszczeń wojennych.

ministracji ciągną się pola uprawne i las i znów pola, aż do nadniemeńskiej mieściny Orle... za którą zaczyna się książęca puszcza... Trudno, by w cyfrach uzmysłowić potężny ten warsztat gospodarczy. Czterdzieści hektarów gospodarstwa rybnego, 2 gorzelnie, młyn parowy, dwa wodne, łuszczarnia nasion, hodowla konia remontowego, wielka obora hodowlana krów holenderek w Żołudku, a czerwonej rasy polskiej w Bohdanówce na folwarku. ...to centrala gospodarcza, sam ośrodek.

A wzdłuż szosy przez księcia pobudowanej na przestrzeni 17 klm., aż do puszczańskich brzegów Niemna ciągnie się pięć folwarków, a każdy z nich w wielkim aparacie gospodarczym jest komórką hodowlaną. bądź rolniczo-przemysłową, sam w sobie, zharmonizowany z całością jak jeden z trybów wielkiej usprawnionej maszyny.

A wszystko to połączone siecią własnych telefonów, posiadające (na terenie nadleśnictwa) własną elektrownię, poza etatem zarządu, własnego lekarza, domową aptekę, szpital, pomoc akuszeryjną dla pracownic, przedszkola dla dzieci, których co dnia trzydzieścioro spędza czas we własnej szkółce pod opieką przez majątek utrzymywanych ochroniarek.

Olbrzymi ten aparat stanowiący sam przez się jak gdyby wielką wyspę zorganizowanego w dobrobycie społeczeństwa na wschodniej rubieży Rzplitej, nie stanowi fortuny jednego człowieka, będąc dzięki organizacji swojej dobrodziejstwem całej okolicy.

Wielkie warsztaty żołudzkie stanowią jedyną podstawę bytu wielu wsi, które osiadłe na gruntach lichych piaszczystych, w dzisiejszej ciężkiej dla rolnika konjunkturze nie mogłyby bez zamku wydołać.

Gdy zważy się, że przy uprzemysłowionej (tartaki własne w Zaczepicach) gospodarce na terenach ogromnych lasu, za samą zwózkę drzewa z puszczy do tartaków, ludności miejscowej, kasa wypłaca 700.000 zł. rocznie, a za pracę leśną sama zaniemeńska ludność 300.000 zł. pobiera, zrozumie się czem jest dla biednego białoruskiego włościanina ten grosz, zarobiony w bezczynnych na roli miesiącach zimowych.

To też gminy niektóre (np. gmina Orlańska) stanowi w czasach dzisiejszych wyjątek niezwyczajny... nie znając, tak częstych gdzieindziej, odwiedzin sekwestratora... Wsie Dąbrowa i Długa po dramacie pożarów, które je zniszczyły otrzymują drzewo darmo i na pobudowanie, a po kilkadziesiąt metrów jęczmienia jako zapomogę jednorazową, fabryka przetworów drzewnych w nadleśnictwie zatrudnia cały zastęp bezrobotnych okolicy, a co dnia do kancelarji zarządu napływają prośby, które zawsze wysłuchane zostają, a rok nie przemija, by szczodra ręka księcia kilka tysięcy nie asygnowała na zapomogi dla zakupu inwentarza.

W potężnej maszynie zorganizowanej pracy setki ludzi znajdują dla siebie byt o który dziś tak trudno.

Służba leśna pozostająca pod kierownictwem nadleśniczego Fr. Piaseckiego, stanowi dział specjalny. Rozsiane po olbrzymiej przestrzeni placówki leśne podlegają hierarchji specjalnej: leśniczych, objazdowych i gajowych, nie tylko dobrej służby leśnej, ale i świetnych tropicieli... i łowczych.

W trudnym, acz pięknym swym zawodzie posiadają oparcie moralne o dwór, który rozumie i zaspakaja ich potrzeby. Gdy zachoruje gajowy Pietruk, to nie zawaha się książę ni godziny, by na kurację wiernego sługi, pięć tysięcy łożyć na pobyt w Zakopanem, a ileż sum cichą ręką danych dopomogło służbie leśnej w ciężkich chwilach!

Rzecz oczywista, że kierownictwo tak przeróżnego i wielkiego aparatu pracy nie może spoczywać w jednej rąk parze. Zasługą obywatelską księcia Ludwika jest bezsprzecznie umiejętność w doborze swych pomocników.

Gdy „ministerstwo" lasu spoczywa w rękach p. Franciszka Piaseckiego, całokształtem opiekuje się plenipotent p. Józef Sławiński... Szlachcic, ziemianin i syn tej ziemi, wyrósłszy z niej, znający świetnie potrzeby i... narowy ludności miejscowej, w imieniu księcia lawiruje umiejętnie między Scyllami stosunków, które wytwarza codzienna dola.

Niewdzięczna to praca... Gdy co dobrego się stanie... zasługa zawsze księciu przypada a niezadowolenia przypadają Sławińskiemu. Jego natomiast jest zasługą, że stanąwszy obok księcia w złym czasie powojennych dewastacyj, dopomógł ks. Ludwikowi do stworzenia tak dobrodziejskiego... a dziś już za unikat uchodzącego warsztatu pracy rolnej... o zapłaconych zgóry za lata podatkach.

Trudno by pisać o puszczy zaniemeńskiej w ramach jednego artykuliku, o dziwach jej, mieszkańcach i leśnych jej ludziach.

Trudno też ludziom miasta, opisywać kilometry całe, pierwotnej samorodnej kniei, nad którą w błękicie wiosennego nieba zawisły orły, a mszarne jej ścieżyny, przemierza szary „raubritter" kniei, wilk.

Czasem tylko, głębokim jej echem targnie okrzyk rozpaczy, lub tryumfu jednego z tajemniczych jej mieszkańców, czasem, jak złota smuga słońca spłynie z gałęzi omszałego dębu, płochliwy ryś, lub jak Sylfidy na łąkę puszczańską, o zmroku wypłyną sarny.

Znane są na ziemiach wschodnich wielkie łowy w Żołudku. Książę będący venatorem, chętnie gości brać łowiecką u siebie, a jako myśliwy nowoczesny hołduje zasadzie, należytej ochrony zwierzyny... To też piękne są zwierzostany zaniemeńskiej puszczy. Brakuje jej przez wojnę wyniszczonego łosia, ale kto wie czy już niezadługo nie powrócą do niej, dawni jej... niedźwiedzie.

Sarna, wilk, ryś, dzik — stanowią dziś poza głuszcem, cietrzewiem i bielakiem zającem podstawową zwierzynę łowną.

Z kilkudziesięciu sztuk dzików stadowych odstrzał jest regularny i regulujący kwestję zwierzostanu z którego włośnianie okoliczni, swego rodzaju przemyt sobie urządzili przedstawiając bardzo pesymistyczne rachunki rzekomych szkód polnych, które opłacane zostają bez kwestji.

Jako sportsman - myśliwy w rozkładzie swoim ks. Ludwik setnego się wilka dolicza, umiłowawszy specjalnie łowy na kozła podjazdem.

Teraz budzi się puszcza zaniemeńska, do nowego życia z nowemi słońca promieniami. Gdzieś tam daleko za Czerenkami, w bagnistym ostępie pieśń swą miłosną o wiośnie zatokowały głuszce.

— Niech pan przyjedzie... już grają!

Przyjadę — przyjadę... do ciebie puszczo pierwotna, a zawsze czarowna kochanico.

Wielka świątynio Boga... czarowna w zimowej szacie, rozsnuta bogactwem życia w lipcowe upały... rozkochana o wiosennych świtaniach. **Feliks Dangel.**

Poniżej: wzdłuż historycznego traktu pochodu armji napoleońskiej suną książęce sanie na łowy do kniei...



FLIRT ZA KULISAMI... →

Fot. Polonsky — Hollywood.



NASZ KONKURS WIELKANOCNY





I. Stół w domu p. Anny Grabowskiej z Czerwińska nad Wisłą w woj. warszawskiem ma przewagę mięsiwa i mnogość pisanek. — II. W domu pp. pułkownikowstwa Kiezunów w Toruniu, pomyślano przy śniadaniu wielkanocnem o konkursie „Asa" i nadesłano zdjęcie zebranych gości: Siedzą od lewej pp. inż. Graffowa, red. Irena Ostrężyna, kapitanowa Rodziewiczowa, artysta Teatru Ziemi Pom. Ilcewicz, kpt. Komorowski, pułkownikowa Kieżunowa, płk. Kieżuń (w głębi), inż. Graff, uczeń gimn. i kadet, kapitanowa Komorowska i inż. Mrowcowa.

Życie nowoczesnego człowieka ulega szybkim przeobrażeniom, które przynoszą z sobą korzystne zmiany, ulepszające, ułatwiające i uprzyjemniające jego egzystencję. Dążymy do równowagi pomiędzy pracą zawodową a życiem prywatnem, w czem kulturalne społeczeństwa zachodu dochodzą do bardzo korzystnych wyników. Ich umiejętność pogodzenia jednego z drugiem należy nietylko podziwiać, ale brać za wzór w organizacji naszego życia społecznego i rodzinnego. Wzór tem bardziej godny naśladowania, że jest on wynikiem nie bezmyślnego przetwarzania starych form w nowe, lecz ewolucją doświadczeń wielu pokoleń, z których żadne nie zapiera się swych tradycyj, lecz dostosowuje je tylko do wymogów nowoczesnych, zachowując z nich wszystkie piękne formy zwyczajowe. Trwają one niezmiennie ponad fluktuacjami życia. Są tym bezcennym łańcuchem spójnoty, który łączy współczesnych ze sobą i z przeszłością, skąd powstają niezniszczalne spoidła rodzinne i narodowe.

Gdy temat ten rozważamy, smutne snują się refleksje, że u nas zanikają piękne zwyczaje, odziedziczone po przodkach. Rwie się coraz bardziej nić, łącząca nas z tradycjami życia rodzinnego. Już to, czego świadkami byliśmy w dzieciństwie, nie utrwala się w młodszych pokoleniach. W kołach inteligencji polskiej, której obowiązkiem powinien być kult dla tradycji, zanika ona, niestety, coraz bardziej.

O ile ratuje się na wielu polach zwyczaje i obyczaje ludowe, które znajdują swych zapalonych obrońców i propagatorów, o tyle nie myśli się wcale o potrzebnej propagandzie na terenie miast.

Redakcja „Asa" powzięła plan propagandy wielkanocnego zwyczaju „Święconego". Zapowiedziany konkurs fotograficzny z nagrodami, miał pokazać tradycyjnie zastawione stoły wielkanocne, na których zgromadzoną na okres świąt żywność, pieczołowicie przez panie domu przygotowaną, błogosławi kapłan, odmawiając modlitwy i kropiąc święconą wodą.

Plon konkursu nie dał spodziewanych wyników, a raczej wykazał, że „święconego" w tym znaczeniu, już się prawie że nie kultywuje. W stolicy, jak i w innych miastach poprzestaje się co najwyżej na przesłaniu do kościoła paru jajek dla ich poświęcenia i temi później dzielą się rodziny, składając sobie świąteczne życzenia.

A jeszcze przed wojną bywało u nas inaczej. Na śnieżysto-białym obrusie stały ze smakiem poustawiane wyśmienite baby, mazurki, przekładańce, torty, a dalej chleb, szynka, w domu marynowana i gotowana, kiełbasy i inne mięsa i wędliny, oraz nieodzowny chrzan, bukieciki bukszpanu, flaszki napoju, owoce i kwiaty. Na środku stołu, na miejscu honorowem, baba petynetowa lukrowana i baranek z marcepanu, obok jaja, często w postaci malowniczych pisanek. Kropidełko i woda.

I przychodził od domu do domu kapłan w białej komeżce z asystującym chłopczykiem i padały na stół słowa modlitwy, błogosławieństwo darów Bożych, przygotowanych na święta. Gdzie dziś szukać jeszcze zwolenników tego pięknego zwyczaju?...

Apelujemy przedewszystkiem do pań domu, aby podjęły propagandę w celu odnowienia pięknego zwyczaju wielkanocnego. Nie przestaniemy na wynikach tegorocznego konkursu, ale już dziś, reprodukując nadesłane zdjęcia — zapowiadamy powrót do tego konkursu w roku przyszłym, licząc, że przyjdą nam z pomocą tak owocnie pracujące Związki Pań Domu, do których w swoim czasie zwrócimy się jeszcze z odpowiednim apelem.

Tym Paniom, które nadesłały zdjęcia, gratulujemy serdecznie, że potrafiły wytrwać w pietyźmie dla tradycji wielkanocnej. Ich przykład może jeszcze zachęci i inne do przysłania zdjęć, które były wykonane, lecz może brakło odwagi na ich nadesłanie.

Nagrody z przeznaczeniem na nasz konkurs wielkanocny ofiarowały następujące firmy:

Fabryka porcelany „Ćmielów": serwis do kawy. — Anastazy Froncz (Kraków): torebka damska. — Gazownia Miejska (Kraków): gazowe żelazko do prasowania. — „Miraculum" — komplet kosmetyków. — A. Piasecki: piękna bombonierа z cukrami.

O podziale nagród pomiędzy uczestniczkami konkursu wielkanocnego zadecyduje jury redakcyjne. W następnym numerze zamieścimy fotografje nagród.

III. Babunia z Poznania zastawiła stół bardzo tradycyjnie. Jest na nim wszystko, bez cienia przeładowania.
IV. Stół p. M. B. z pod Krakowa zwraca uwagę mnóstwem smakowitego pieczywa: mazurki, torty i placki otaczają cały stół.







Opowieść z EPOKI KAMIENNEJ

6-ty ODCINEK.

H. G. WELLS | PRZEKŁAD W. de RICHE | ILUSTR. CHARLIE

Miały zwyczaj paść się na otwartej przestrzeni i szukać schronienia w cieniu tylko w czasie upału. Unikały zarośli i gajów, wybierając zawsze odosobnioną grupę drzew, nienadającą się na zasadzkę, tak, że podejść je było rzeczą bardzo trudną. Nigdy nie walczyły; zęby ich i kopyta stworzone były wprawdzie do walki, ale na równinie, kiedy raz ruszyły z miejca, nie mogło im sprostać w biegu żadne zwierzę, chyba jeden słoń, gdyby miał ochotę. W tych czasach również i człowiek nie przedstawiał żadnego niebezpieczeństwa. Konie nie przeczuwały, że w przyszłości zgotuje on im straszną rzeź, że cierpieć będą pod razami bicza, ukłuciami ostrogi, że ciągnąć będą naładowane wozy na śliskich ulicach, że będą źle karmione i że w srogiej niewoli zapomną o trawiastych równinach i swobodzie.

Ughlomi i Eudena nie widzieli nigdy koni zbliska, w czasie pobytu na bagnach, ale teraz spotykali się z niemi codziennie, kiedy wychodziły z doliny na równinę w poszukiwaniu za paszą. Oboje wrócili na półkę skalną po zabiciu Andu, gdyż niedźwiedzica nie budziła w nich obawy. Bała się sama i zwęszywszy ich, uciekała. Oboje chodzili zawsze razem, gdyż od chwili opuszczenia obozowiska, Eudena była równie żoną Ughlomiego jak i jego towarzyszką. Nauczyła się nawet polować i polowała, jak na kobietę, bardzo dobrze. W istocie była to nieprzeciętna kobieta. Umiała leżeć w zasadce godzinami, obserwując zwierzynę i towarzyszyła mężowi w jego wyprawach myśliwskich, wpatrując się w niego błyszczącemi oczyma, nie drażniąc go niepotrzebnemi uwagami — słowem, zachowując się, jak mężczyzna. Była nieprzeciętną niewiastą!

Na szczycie skał rosła na dużej przestrzeni murawa, a dalej las bukowy. Za lasem rozpościerała się wielka równina, porośnięta trawą, na której pasły się konie. Na pograniczu lasu i terenu, porośniętego paprociami, znajdowały się nory królicze i tu czatowali Eudena i Ughlomi, czekając na wyjście zwierzątek i rozpoczęcie przez nich zabawy w świetle słońca. I podczas, gdy Eudena siedziała, baczna na wszystko, w zupełnem milczeniu, wpatrując się w wejścia do nor, oczy Ughlomiego śledziły pasące się w oddali niezwykłe zwierzęta.

Oceniał podświadomie ich zwinność i wdzięk. Kiedy słońce skłaniało się ku zachodowi i upał się zmniejszał, zaczynały się ożywiać, zaczynały gonić się wzajemnie, rżąc, podskakując, wstrząsając grzywami, zataczając w biegu wielkie kręgi i podchodząc nieraz tak blisko, że do uszu jego dolatywał tętent kopyt. Był to widok tak wspaniały, że Ughlomi zazdrościł im tej zabawy. A czasami wywracały się na grzbiet, wyciągając w górę cztery nogi, co budziło w nim przestrach i było z pewnością mniej ciekawe.

Ughlomi przyglądał się im i rozmyślał i dzięki tym rozmyślaniom udało się dwom królikom ujść z życiem. W czasie snu mózg jego pracował jednak śmielej i żywiej, jak to zresztą zazwyczaj w owych czasach bywało. Śnił, że .podchodzi do koni, że walczy z niemi, a potem konie zamieniały się w ludzi, a przynajmniej w ludzi o końskich głowach i wówczas budził się, okryty zimnym potem.

Jednakże nazajutrz rano, kiedy konie pasły się na trawie, jedna z klaczy zarżała... Ujrzały, że zbliża się do nich Ughlomi. Przestały jeść i zaczęły się mu przyglądać. Ughlomi szedł wprost do nich, ale naprzełaj, przez równinę, nie zwracając uwagi na konie. Wsadził sobie we włosy trzy paprocie, co nadawało mu dziwny wygląd i posuwał się naprzód krok za krokiem...

— Co to ma znaczyć? — rzekł Koń Przewodnik, który był bardzo pojętny ale niedoświadczony.

— Jakaś istota, która wygląda raczej na półzwierzę — dodał. — Cztery nogi, ale bez tułowia.

— Może to jedna z małp — rzekła Najstarsza Klacz. — Jedna z tych małp, mieszkających nad rzeką. Spotyka się je często na równinie.

Ughlomi nie przerywał swej wędrówki naprzełaj. Najstarsza Klacz zdumiona była brakiem wytłumaczenia dla jego postępowania.

— Głupiec! — rzekła wkońcu tonem zdecydowanym.

Zaczęła znów skubać trawę. Koń Przewodnik i Druga Klacz poszli za jej przykładem.

— Popatrzcie! Podchodzi bliżej — zawołał nagle Źróbek.

Jeden z młodszych źróbków zaczął zdradzać niepokój. Ughlomi przykucnął, a potem usiadł, spoglądając na konie. Przekonał się w jednej chwili, że nie zdradzały wrogich zamiarów i nie zamierzały uciekać. Zaczął zastanawiać się, co ma dalej czynić. Nie chciał ich zabijać, ale miał z sobą siekierę i zbudziła się w nim żyłka myśliwska. Jakby tu zabić jedno z tych wspaniałych zwierząt? Jedno z tych wspaniałych, pięknych zwierząt?

Eudena, przyglądająca się mu w niemym podziwie z poza kępy paproci, ujrzała, że zaczął teraz posuwać się naprzód na czworakach. Ale konie wolały go, jako istotę dwunożną, niźli czworonożną... Koń Przewodnik podniósł głowę i dał znak do ucieczki. Ughlomi myślał, że ich już nie zobaczy, ale zatoczyły tylko wielki krąg i zatrzymały się, wietrząc go. Potem, ponieważ zasłaniało go wzgórze, Koń Przewodnik zawrócił i zaczął się do niego przybliżać.

Ughlomi nie znał koni, równie, jak i one go nie znały. I w tym wypadku wydawało mu się, że wzbudził w nich gniew. Wiedział, że rozgniewany bawół lub jeleń lubią atakować i nie chciał się narażać. W każdym razie Eudena ujrzała, że zerwał się na równe nogi i zawrócił do niej, trzymając w ręku paprocie.

Wstała, a on uśmiechnął się, aby dać jej do zrozumienia, że wszystko to było zabawką i że zrobił tylko to, co zamierzał. Tak skończył się ten epizod. Ale przez cały dzień Ughlomi był bardzo zamyślony.

Nazajutrz bezmyślne, płowe stworzenie z lwią grzywą nie udało się na polowanie ,ale znowu zaczęło włóczyć się koło koni. Najstarsza Klacz okazywała mu jawną pogardę. — Przypuszczam, że chce się od nas czegoś nauczyć — rezkła. — Niech się uczy. — Następnego dnia gra powtórzyła się. Koń Przewodnik przyszedł do przekonania, że nie miała absolutnie żadnego znaczenia. W istocie jednak, Ughlomi, który pierwszy z ludzi uległ dziwnemu czarowi koni, przywiązującemu nas do nich do dnia dzisiejszego, podziwiał je i chciał być jak najbliżej tych pięk-

nych zwierząt. Może chciał zabić jedno z nich? Gdyby mu tylko pozwoliły podejść bliżej. Ale utrzymywały odpowiednią odległość — pięćdziesięciu yardów. Przypuszczam, że wspomnienie Andu i jego oślepienia nasunęło mu myśl wskoczenia na grzbiet jednego z nich. Ale chociaż Eudena przyłączyła się później do jego wycieczek na równinę i przyglądała się koniom razem z nim, sprawa nie posunęła się naprzód.

Potem, pewnego dnia przyszła Ughlomiemu nowa myśl do głowy. Koń patrzy wdół i przed siebie, ale nie patrzy wgórę. Żadne zwierzę nie spogląda wgórę — są zbyt towarzyskie. Tylko człowiek, jako kapryśne stworzenie, lubi spoglądać w niebo. Ughlomi nie wyciągał wniosków, ale wiedział, że tak było. Spędził zatem pracowity dzień na buku, który rósł na równinie, podczas gdy Eudena skradała się. Zazwyczaj konie kryły się w cieniu popołudniu, kiedy było gorąco, ale tego dnia niebo było pokryte chmurami i mimo, że widziały tylko Eudenę, nie uczyniły tego.

W dwa dni później zdołał jednak Ughlomi zamiary swe wprowadzić w czyn. Dzień był upalny, a muchy bardzo dokuczały koniom, które przestały się paść przedpołudniem i schroniły się do cienia.

Koń Przewodnik stanął tuż przy drzewie. I nagle rozległ się jakiś szelest, trzask gałęzi i coś spadło na jego grzbiet. Koń przewodnik upadł na kolana, ale zerwał się zaraz i ruszył z kopyta. Ughlomi został podrzucony wgórę, ale kolana jego ścisnęły brzuch konia. I nagle poczuł, że posuwa się naprzód w powietrzu wśród dziwnych wstrząśnień... Siekiera jego przepadła gdzieś bez śladu.

— Trzymaj się — radził instynkt, i Ughlomi poszedł za tą radą.

Przed oczyma migotały mu szorstkie włosy, których część dostała się także między jego zęby. Widział grzbiet Konia Przewodnika, gładki ale szeroki, pokryty skórą, pod którą zaznaczały się jego mięśnie. Zdał sobie sprawę, że trzyma się rękami za szyję konia i że poruszenia biegnącego zwierzęcia są dziwnie rytmiczne.

Nagle znalazł się między drzewami, ale trwało to tylko chwilę. Potem ujrzał przed sobą porośniętą paprociami przestrzeń, a potem torfowisko. Potem usłyszał chrzęst kamieni pod kopytami zwierzęcia, które biegło łożyskiem rzeki. Ughlomiemu zrobiło się niedobrze, ale zdołał się opanować.

Bał się poruszyć, aby nie spaść. — Chwycił się jednak mocniej za grzywę. Wysunął kolana naprzód i usadowił się lepiej na grzbiecie. Nie mógł wciąż jeszcze oddychać swobodnie, ale zwolna zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Koń biegł, co sił starczyło, ale Ughlomi był już teraz raczej podniecony, niż przestraszony. Czuł powiew wiatru, który sprawiał mu przyjemność. Znaleźli się znów na torfowisku, pokrytem bujną trawą, wśród której widniały czerwone kwiaty. W oddali rozciągała się błękitna dolina. Ughlomiego ogarniało coraz większe podniecenie. Bądź co bądź, była to pierwsza jego jazda na koniu.

Galopowali przez łąkę, na której pasły się stada płowych saren, a potem para szakali, które wzięły Ughlomiego za lwa, pobiegła za spłoszonym koniem. Nawet wówczas, kiedy spostrzegły swoją pomyłkę, towarzyszyły im przez pewien czas z ciekawości.

— Które z nich zginie? — zapytał pierwszy szakal.

— Koń zginie pierwszy — rzekł jego towarzysz. Zawyły oba, a koń odpowiedział im tak, jak zazwyczaj odpowiadają konie na wycie goniących je prześladowców.

Galopowali coraz szybciej, płosząc ptaki i drobne stworzenia, tratując kwiaty i wgniatając w miękki grunt zioła i krzewy. Znaleźli się znów między drzewami, a potem za chwilę nad rzeką i w rzece. Z pod kopyt pędzącego konia wyskoczył zając, a szakale, towarzyszące im dotąd stale, dały wreszcie za wygraną. Wydostali się teraz na równinę, równinę, która rozciąga się dziś na północ od Eusom Stand.

Koń Przewodnik zaczął się już męczyć. — Biegł miarowym truchtem, a Ughlomi, chociaż zbolały i niepewny przyszłości, był w stanie triumfalnego uradowania. I teraz przyszedł nowy zwrot. Koń Przewodnik zatoczył mały łuk i zatrzymał się...

Ughlomi miał się na ostrożności. Żałował, że nie ma przy sobie kamienia do rzucenia, który nosił przy sobie na pasie rzemiennym, ale ten przepadł razem z siekierą. Koń Przewodnik odwrócił łeb, a Ughlomi ujrzał jego oko i zęby. Cofnął nogę i uderzył pięścią w pysk konia. Potem głowa zwierzęcia zniknęła, a grzbiet, na którym siedział, poleciał wgórę. — Instynkt nakazał Ughlomiemu ścisnąć stopy i kolana, gdyż głowa jego obsunęła się ku łące. Chwycił się palcami grzywy i to go ocaliło.

Opadł spowrotem na grzbiet, a potem, ku wielkiemu zdumieniu Ughlomiego, koń podniósł przednie nogi wgórę. Ale Ughlomi trzymał się, jak małpa. Od szeregu pokoleń lew oduczył konia taktyki przewracania się na grzbiet i siadania na zadzie. Ale wierzgał po mistrzowsku i kopał bez zarzutu. Ughlomi przeżył w pięciu minutach całe życie. Był przekonany, że koń go zabije, jeśli z niego spadnie.

Potem Koń Przewodnik postanowił wrócić znowu do dawnej taktyki i rozpoczął nagle galopować. Biegł po pochyłości, nie zbaczając ani na lewo ani na prawo, a że jechali nadół, szeroka dolina zniknęła mu z oczu poza dębami i krzakami głogu... Jednym skokiem przesadzili zagłębienie, wypełnione źródlaną wodą i znaleźli się w srebrzystym gaju. Ziemia była tu miększa i trawa większa, a po lewej i prawej stronie widniały majowe krzaki, jaśniejące jeszcze od kwiatów. Po chwili krzaki stały się gęstsze ponad rzeką, a na koniu i człowieku pojawiły się małe smugi i krople krwi. Przebyli rzekę i wydostali się znów na równinę.

I teraz spotkała ich dziwna przygoda. W zaroślach rozległ się nagle wściekły ryk, ryk zwierzęcia, które doznało ciężkiej krzywdy. Wśród trzasku łamanych krzaków ukazał się jakiś wielki szaro-niebieski kształt. Był to Yaaa, nosorożec, który w napadzie niewytłomaczonej wściekłości pędził za nimi, co sił starczyło. (C. d. n.).



Był to Yaa, nosorożec...

GRETA TURNAY



Raz naprawdę coś niebywałego! Wiedeńska piosenka podbiła Warszawę — tę Warszawę, w murach której, od suteryn aż po najwyższe piętro dźwięczy wciąż żywem echem romans rosyjski, słuchany z łezką w oku i intensywnem biciem serca, a stanowiący żelazny repertuar wszelakich zespołów muzycznych i popisów śpiewaczych.

I nagle ta sama Warszawa szaleje z zachwytu, słuchając sentymentalnych wiedeńskich walczyków: „Wien, nur du allein!", albo „Ich möcht wieder einmal in Grinzing sein"...

I któż to sprawił ten cud, że Warszawianin, tak wierny do tej pory „czarnym oczom", przerzucił swe sympatje z nad Newy, nad modre fale Dunaju!

Naturalnie... kobieta! Jest nią urocza pieśniarka, pani Greta Turnay (żona znanego kompozytora). Gdy przed niespełna dwoma miesiącami zaśpiewała po raz pierwszy w Warszawie na koncercie Pol. Radja w Bristolu walca Straussa i „Grinzinger Lied" Benatzkyego, porwała z miejsca całą publiczność. Oklaskom nie było końca. Słyszała ją zresztą cała Polska — i choć to nie jest dopuszczalnem na koncertach radjowych, na których czas trwania każdej produkcji obliczony jest na minuty, musiała artystka bisować.

Od tej pory p. Greta Turnay śpiewała już kilkakrotnie na wieczorach artystycznych w Simie i kawiarni Artystów; brała udział w wielkim jubileuszowym koncercie P. R., a zaproszeń na rozmaite imprezy ma tyle, że im podołać nie jest wstanie.

Każdorazowe pojawienie się artystki na estradzie wywołuje niebywały entuzjazm wśród słuchaczy, którzy nie pozwalają zejść śpiewaczce, domagając się naddatków.

Chcąc zrozumieć to niebywałe zwycięstwo wiedeńskiej piosenki na gruncie warszawskim, trzeba samemu widzieć i słyszeć p. Gretę Turnay. Urok, promieniujący z jej wdzięcznej postaci, uśmiech, czający się w figlarnych dołeczkach i jasnych oczach, porywający, iście „heurigerowski" temperament, poza wysokim kunsztem śpiewaczym i artystyczną interpretacją śpiewanych przez nią pieśni i piosenek, muszą zdobyć scenę i uznanie każdego miłośnika i znawcy piękna i prawdziwej sztuki.

P. Turnay, lubo rodowita Wiedenka, jednakże mieszkając od kilku lat w Warszawie, gdzie wśród szerokich kół towarzyskich i artystycznych cieszy się ogromną sympatją i uznaniem, zdołała doskonale opanować język polski.

W swym repertuarze, który oprócz wiedeńskich piosenek Benatzky'ego Stolza i Straussa, obejmuje też i arje operetkowe oraz przeboje filmowe, posiada p. Turnay także i kilka pieśni polskich. Rodzinne jej miasto Wiedeń widziało również p. Turnay w teatrze „An der Wien", gdzie występowała gościnnie w kilku operetkach.

Obecnie po kilkumiesięcznym pobycie zagranicą zawitała p. Turnay znowu do Warszawy i tak pięknie rozpoczęła swą karjerę artystyczną, zdobywszy wiedeńską piosenką polską publiczność, która zawsze umie ocenić prawdziwy i szczery talent.

Zofja Ordyńska.

M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI IRLANDZKIE

(IRYJSKIE)

CZĘŚĆ II.



Wzór, jak wypełnia się tło pomiędzy gałązkami i płatkami kwiatu.

Kto umie biegle szydełkować, ten przy gipiurach irlandzkich ma wielkie pole do popisu. Ponieważ w gipiurach tych jest ogromna rozmaitość pomysłów, niepodobna więc opisywać metodycznie każdy szczegół, a nawet każdy motyw, objaśniam więc tylko ogólnie tę technikę szydełkowania. Ale już i w tej technice w ostatnich czasach zmieniono wiele. Połączono ją z wzorami zwykłego szydełkowania.

* * *

Liście możemy robić pół-ażurowe, a nawet całe ażurowe. Tak samo kwiaty jak i inne kształty fantazyjne.

Szczegółowo opiszę, w jaki sposób robimy gałązki o drobnych listkach i różyczki.

Gałązki z listkami.

Przy szydełkowaniu łodyżki o drobnych listkach postępujemy w ten sposób. Na grubej bawełnie robimy niskie słupki na długości nam potrzebnej np. 5 cm. Będzie to długość łodyżki na dole pod listkami. Teraz na prawo łodyż-

Poniżej: Rozmaite motywy, wykonane techniką irlandzką.











Na lewo: Kilka różyczek i listek w technice irlandzkiej.

Poniżej: Motywy irlandzkiej gipiury.

ki zaczynamy robić listki na 1 i pół cm. długości.

Robimy na grubej bawełnie słupki raz nawijane i wracamy zpowrotem, szydełkując także raz nawijane słupki na grubej bawełnie i listek gotowy.

Następnie robimy z 19 słupków nienawijanych, niskich, na dalszą łodyżkę i znowu z boku listek drugi. Następnie drugim bokiem wracamy wdół, robiąc drugą połowę łodyżki, a w odstępach znowu 5 listków. Naturalnie dolne listki są dłuższe, a 3 wierzchołkowe znacznie krótsze

Przy szydełkowaniu gałązki trzeba uważać, by listki były mocno zszydełkowane z łodyżką słupkami niewidocznemi ,by wszystkie szczegóły razem mocno się trzymały. Łodyżka składa się z samych niskich słupków.

Różyczki.

Obecna moda faworyzuje włóczkę i często widzimy na dziecinnych kapelusikach czy kapuszkach, a także na gieskach bluzkowych różyczki.

Różyczki mogą być rozmaitej wielkości, a także pełniejsze lub prawie puste, płaskie. W środku robi się się od 5. aż do 8. dziurek. Zaczynając różyczkę: robimy 7 oczek na powietrzu, zamykamy kółko i obrabiamy je niskiemi słupkami, albo wcale nie obrabiamy, tylko odrazu w tem kółku szydełkujemy dowolną ilość dziurek. Spajamy potem dziurki niewidocznym słupkiem. (W słupku niewidocznym przeciąga się nabraną bawełnę odrazu czasem i przez kilka oczek). Ponieważ pierwsza dziurka nie może mieć słupka, robimy więc na początku 2—3 oczka na dziurkę, a drugie 3 oczka trzeba zrobić na łańcuszek, który będzie zastępował pierwszy słupek.

Zrobiwszy 6 oczek, robimy raz nawijany słupek odrazu w kółku, albo na słupkach, któremi obrobiłyśmy kółko. W takim razie jednak trzeba niskie słupki rozliczyć dokładnie, by dziurki wypadły w równych odstępach.

Każda dziurka ma być wypełniona słupkami, przyczem pierwszy i ostatni słupek musi być niski, a środkowe 3—4 powinny być raz nawijane. Gdy wszystkie dziurki są już wypełnione słupkami, widzimy, że potworzyły się ząbki słupkowe. Teraz wtyle tych ząbków słupkowych robimy ząbki łańcuszkowe. A więc wtyle na dole na początku każdego pełnego ząbka szydełkujemy jeden słupek niski. Potem robimy 3—4 oczka na powietrzu i znowu słupek niski na końcu tego ząbka pełnego. Utworzą się więc półkola czyli ząbki łańcuszkowe, które znów wypełnią się słupkami.

I tak naokoło różyczki powstaną ząbki łańcuszkowe, które znów wypełnić musimy słupkami. Pamiętać tylko należy, że pierwszy słupek, a czasem i dwa pierwsze muszą być słupkami niskiemi, a środkowe słupkami raz nawijanemi, zupełnie tak samo, jak w poprzednim rzędzie. Ponieważ różyczka rozszerza się, więc w każdym następnym rzędzie robimy za słupkami więcej oczek na ząbki łańcuszkowe, a także więcej słupków, wypełniając te ząbki. Każdy rząd w różyczce składa się z dwóch części, z ząbków łańcuszkowych i słupkowych.

(C. d. n)

Tajemnice maquillage'u.

Kosmetyki, bez których nie może się dziś obejść prawie żadna kobieta, są ważnym współczynnikiem naszego wyglądu.

Niestety często stają się one przyczyną zeszpecenia, zamiast podniesienia urody kobiecej. Dzieje się to dlatego, że mało która z pań zdaje sobie sprawę, w jaki sposób, kiedy i jakich kosmetyków używać należy.

Dziś, kiedy mamy taką moc odcieni pudrów, różów, pomadek do warg itd. każda z nas może „zrobić" sobie twarz — jaką pragnie mieć w danej chwili, dobraną do pory dnia i koloru sukni. Dlatego też na równi ze zmianą naszych strojów odpowiednio do pory roku i dnia, powinniśmy zmieniać i kosmetyki. Ale trzeba to czynić zręcznie, lekko i ostrożnie. „Zrobienie" twarzy, że tak powiem, musi być wykończeniem estetycznem wyglądu danej osoby, a nie jaskrawem wymalowaniem twarzy, które wybija się na pierwszy plan. Często robi ono wrażenie mozolnego wysiłku, aby zniszczyć piękno naturalne, lub skarykaturyzować rysy twarzy.

Dawniej dobierano kosmetyki do koloru włosów. A więc blado-różowy róż na policzki, w tej samej barwie pomadka do warg oraz cielistego koloru puder były wskazane dla wszystkich blondynek. W ciemniejszym odcieniu róż i pomadkę i naturalnego koloru puder polecano wszystkim kobietom o ciemniejszych włosach. Kosmetyki o ciemnych tonach przeznaczano dla wszystkich brunetek. Metoda ta nie dawała jednak dobrych rezultatów. Bo przecież nie wszystkie blondynki mają jasne cery. A znowu moc brunetek ma białą skórę, a nie oliwkową.

Ważnym czynnikiem w doborze kolorów maquillage'u to kolor sukni. Istnieją barwy materjałów, które rozjaśniają cerę i są takie, które ją przyciemniają. Dziś nietylko dobieramy kosmetyki do koloru włosów, ale przedewszystkiem zwracamy uwagę na to, jak się przedstawia w danym kolorze sukni barwa naszej skóry.

Przypominam, że kolory materjałów: zielony, popielaty, niebieski i wszystkie od nich pochodne rzucają na twarz refleksy, wchłaniające żywsze tony. Przeciwnie zaś kolory: różowe, pomarańczowe, czerwone rzucają na twarz ciepłe refleksy.

Puder powinien pozostawać w idealnej harmonji ze skórą. Jeżeli porównamy ją z arkuszem białego papieru, lub kawałkiem płótna, przekonamy się zaraz, że nie jest ona wcale białą. Dlatego żadna kobieta nie powinna używać białego pudru. Kolor twarzy może być kremowy, albo z odcieniem kości słoniowej. W tych wypadkach trzeba wybierać pudry o tonie kremowym, kości słoniowej, brzoskwiniowo - kremowym, lub delikatny „rachel". Cera może mieć przewagę tonów różowych; wówczas należy używać pudrów o tonach, zwanych „naturel", cielistych, lub brzoskwiniowych. Jeżeli skóra ma odcień żółtawy, lekko opalony, lub pergaminowy, wtedy trzeba stosować puder „rachel" lub beige. Może wkońcu istnieć cera rumiana, albo z odcieniem brzoskwini, lub smagło-różowa; wówczas najodpowiedniejszym pudrem będzie „ochre". Jeżeli jeden odcień pudru nie jest w harmonji ze skórą w danej chwili, można zmieszać dwa, a nawet trzy odcienie, aby uzyskać ton, zlewający się ze skórą. Zdarza się bowiem, że latem twarz ma wybitniejsze, powiedzmy — czerwone i bronzowe tony, a w zimie, kiedy opalenie zejdzie, robi się bielsza i bledsza. Na wieczór znowu lepiej jest używać pudru o jaśniejszym tonie; intensywne bowiem światło zabija ciemne tony na skórze, a jaśniejszy ton pudru daje cerze pewną przezroczystość, ogromnie twarzową.

A teraz kilka słów o różu i pomadce do warg. „Pierwsze przykazanie" głosi, że muszą one absolutnie być w jednym tonie. Nie można stosować np. różu na policzki w tonie poziomki, a pomadkę do warg pomarańczową. Jeżeli skóra jest bladawa, przypomina kość słoniową lub kremową, wówczas wskazane będą kosmetyki o tonach czysto-czerwonych, lub żywo wiśniowych, geranjum, lub karmazyn. Do cery smagłej nadają się tylko róże i pomadki do warg o zdecydowanym, czystym tonie różowym. Są cery o wybitnie purpurowym tonie; w tym wypadku róż i pomadka do warg muszą być wybrane w kolorze rubinu, maliny, lub czerwonego wina.

Daisy.



Na lewo: Aparaty nowoczesnego „salonu piękności".

Poniżej: Dr. Barchett z Londynu wynalazł aparat elektryczny do trwałego barwienia warg.



Poniżej: W Paryżu ukazały się w sprzedaży lustra, na których przy odpowiedniem nastawieniu aparatury pojawia się stosowna do cery barwa pomadki do ust i lakieru do paznokci.



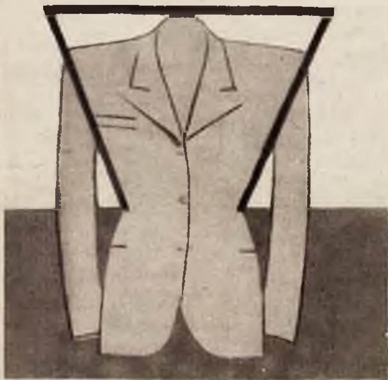
ŁAMIGŁÓWKI ★ MODY ★ MĘSKIEJ

STYL NOWEJ MARYNARKI

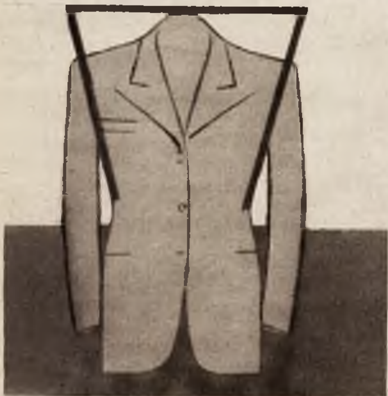
Zmiany, jakie rokrocznie wprowadza moda do stroju męskiego, są zwykle tak minimalne, że interesują tylko tych, którzy do swego wyglądu zewnętrznego przywiązują specjalną wagę. Od czasu do czasu następuje jednak taki moment zwrotny, w którym odzwierciedla się jakiś nowy prąd w ujęciu np. linji marynarki i wtedy mówimy o bardziej, lub mniej wciętej, wysokiej lub niskiej talji, szerokich lub wąskich ramionach itd.

Bieżący sezon zaznaczył się wprowadzeniem lekko tylko wciętej talji, która równocześnie zwęża nieco ramiona, dotąd przesadnie szerokie. Umiejscowienie pozostało niezmienione — na wysokości środkowego guzika. Najchętniej noszona, jednorzędowa marynarka zapinana jest zwykle na trzy guziki. Kołnierz utrzymuje się nadal w szerokości 3—3½ cm, przy szerokich jak dotąd klapach.

Jako nowość w ubraniach marynarkowych lansuje się kieszenie boczne bez klapek, lub tak wykończone, by można było chować klapki do ich wnętrza. Pomijając już fakt, że dotąd styl ten był wyłączną własnością strojów wieczorowych, a więc przedewszystkiem smokinga, możemy przymknąć oko na wprowadzenie go do ciemnych ubrań dwurzędowych — nigdy do marynarek o charakterze sportowym (tu należy przedewszystkiem brać pod uwagę rodzaj i kolor materjału). **Brummell.**



Tak było...



...a tak jest obecnie!

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

CONSOMÉE AUX FINES HERBES. 20 dkg mięsa cielęcego udusić na maśle z paru pieczarkami i szalotkami, następnie zemleć w maszynce wraz z kawałkiem suchej bułki, 2 żółtka utrzeć z łyżeczką świeżego masła, dodać zmielone mięso oraz pianę z 2 białek, wymieszać i nałożyć do formy budyniowej, natartej masłem i wysypanej bułeczką. Gotuje się przez godzinę, następnie kraje w plastry i podaje do buljonu lub dobrego rosołu z kury.

ZUPA SZPINAKOWA. 25 dkg oczyszczonego szpinaku gotuje się w słonej wodzie z szczyptą sody czyszczonej bez przykrycia, dla zachowania koloru. Gotuje się przez 5 minut, mieszając od czasu do czasu. Po odcedzeniu przelewa się zimną wodą, następnie przeciera przez sito. Z łyżki masła lub sadełka i łyżki mąki robi się lekką zasmażkę, zalewa rosołem nagotowanym z kości, zagotowuje i podprawia śmietaną rozbitą z żółtkiem. Ryż na sypko lub grzanki jako dodatek.

SOS CHANTILLY DO ZIMNYCH RYB LUB DROBIU. Utrzeć pastę z 5 dkg masła i 2 oczyszczonych sardelek. Osobno ubić na parze krem z filiżanki buljonu, rozbitego z łyżką mąki, 2 żółtkami i 2 łyżkami śmietanki. Gdy się krem zaczyna podnosić, zdejmuje się naczynie z ognia i miesza krem z przygotowanem masłem sardelowem i sokiem cytrynowym do smaku. Podaje się na gorąco lub na zimno.

SIEKANE BEFSZTYKI (dla ozdrowieńców). Kawałek polędwicy (około 10 dkg na osobę) sieka się bardzo drobno, dodaje szczyptę soli oraz żółtko utarte z łyżeczką masła, miesza z pianą z białka i łyżką tartej bułki, formuje małe okrągłe na palec grube befsztyki, które się szybko obsmaża na rozpalonem maśle, wyrównuje na półmisku, nakłada na każdy usmażone sadzone jajko lub troszkę duszonych pieczarek albo dla amatorów grudkę masła sardelowego. Jako dodatek garnirunek z przetartych jarzyn.

PRZYSTAWKA Z NALEŚNIKÓW. Przygotować w wiadomy sposób 12 sztuk naleśników oraz następujące dodatki: 10 dkg siekanej szynki, 10 dkg duszonych pieczarek, małą główkę ugotowanego kalafiora również rozdrobionego, oraz do polewania: 1/4 l śmietany rozbitej z dwoma żółtkami, solą, łyżką parmezanu i domieszaną pianą z 2 białek. Naleśniki układa się w rondelku wylanym masłem, pokrywa każdy na przemian przygotowanemi dodatkami, polewając każdą warstwę śmietaną. Skropioną masłem potrawę, wstawia się na pół godziny do gorącego piecyka i podaje wyłożoną na półmisek i pokrajaną w gwiazdę jak tort.

TORT DAKTYLOWY Z BIAŁEK. Do piany z 5 piałek dodaje się 15 dkg cukru pudru, 15 dkg tartych migdałów i 15 dkg drobno pokrajanych daktyli. Masę tę nakłada się do natartej olejkiem migdałowym formy tortowej i piecze w bardzo wolnym piecu 30—40 minut. Po ostudzeniu przekrawa się przez pół i napełnia bitą śmietaną.

CIASTO PONCZOWE SAVARIN. 2 dkg drożdży rozpuścić w letniem mleku, dodać łyżkę mąki oraz kostkę cukru i postawić w cieple. 15 dkg masła roztopić i odlać z osadu, następnie utrzeć z 5 żółtkami, łyżeczką soli i 6 dkg cukru; wkońcu dodać 25 dkg mąki oraz rozczyn z drożdży i wybić na całkiem wolne ciasto, dolewając ewentualnie trochę mleka. Formę pierścieniową lub wieńcową wysmarować masłem i wysypać mąką, nałożyć ciasto do połowy wysokości i postawić w cieple. Kiedy forma się wypełni, wstawić do gorącego pieca na godzinę jak każde ciasto drożdżowe. Wyłożone z formy na półmisek lub płytę tortową polewa się następującym ponczem: 15 dkg cukru otartego o pomarańczę polewa się wodą i gotuje na gęsty syrop, wciska sok z 1 pomarańczy i 1 cytryny i dodaje kieliszek dobrego rumu. Ciasto polewa się kilka razy, aby dobrze ponczem nasiąkło. Wolny środek tortu napełnia się bitą kremową śmietanką, wymieszaną z smażonemi lub surowemi poziomkami lub kawałeczkami ananasu, albo nakłada dobrą sałatkę z różnych surowych owoców, zwilżonych ponczem. Zewnętrzną stronę dookoła tortu ubiera się również owocami.

BUDYŃ ORZECHOWY. 6 żółtek utrzeć z 12 dkg cukru z wanilją do białości, dodać 12 dkg orzechów mielonych, pianę z 6 białek i 4 łyżki tartej bułki po trosze naprzemian, aby wszystko było dobrze zmieszane a piana zbytnio nie roztarta. Masę nakłada się do formy budyniowej i gotuje się na parze przez godzinę. Osobno podaje się sos waniljowy lub bitą śmietanę.

IRISH STEUR (angielska potrawa narodowa). Wszelkiego rodzaju świeże jarzyny, pokrajane drobno, ząbek czosnku, parę ziarn pieprzu, łyżka octu stołowego, łyżeczka soli, 50 dkg baraniny z łopatki, pokrajanej w kostkę jak na gulasz, gotuje się zalane ½ l. wody, szczelnie przykryte przez 1—1½ godzin. Na pół godziny przed podaniem dodaje się małą główkę włoskiej kapusty, pokrajaną na ćwiartki i dwa w talarki pokrajane ziemniaki, dogotowuje i podaje na głębokiej misce. Nakrycie, podawane w Anglji do tej potrawy, składa się z średniej wielkości miseczki, łyżki i widelca..

Sc. Ko.

WIOSENNE DANIE



Wczesne szparagi o tej porze to prawdziwy rarytas i chluba ogrodnika czy ogrodniczki. Podane z masłem i bułeczką wraz z jajami na twardo w majonezie ucieszą swym widokiem i smakiem uczestników przyjęcia jako bardzo wytworne danie.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 18 **Kwiecień** Dni 30
Niedziela **26** Bazylego	Consomee w bulionie. Przystawka z naleśników. Pularda pieczona z kompotem. Tort Savarin z sałatką owocową. Kolacja: Wędliny z sosem tatarskim.
Poniedziałek **27** Zyty	Zupa grochowa z grzankami. Omlety z szpinakiem. Sznycle po wiedeńsku z smażonemi ziemniaczkami i marchewką z groszkiem. Budyń orzechowy z sosem waniljowym. Kolacja: Kiełbaski w sosie musztardowym.
Wtorek **28** Witalisa	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z ćwikłą. Mostek cielęcy nadziewany i purée z ziemniaków. Omlet biszkoptowy z kremem. Kolacja: Rizotto z wątróbką.
Środa **29** Piotra męcz.	Zupa jarzynowa przecierana z groszkiem smażonym. Knedle bułkowe z sosem grzybowym. Wątróbka cielęca w śmietanie z ryżem. Kompot mieszany. Kolacja: Ozorki cielęce w szarym sosie.
Czwartek **30** Katarzyny Sen.	Pomidorówka czysta z kluseczkami. Kotlety z móżdżku z opiekanemi ziemniaczkami. Ozór wołowy z sosem chrzanowym. Budyń karmelowy zimny. Kolacja: Ozór na zimno z sałatą fasolową.
Piątek **1** pa i Jakóba	**Maj** Dni 31 Krupnik na śmietanie. Jaja sadzone na grzankach z sałatą jarzynową. Karp z rusztu z krokietami z bułki. Placek z morelami. Kolacja: Konserwy rybne.
Sobota **2** munta kr.	Rosół "Julienne". Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Befsztyki siekane z sadzonemi jajami, pommes frittes i sałata z kiszonej kapusty. Kompot mieszany. Kolacja: Ruskie pierożki z śmietaną.

AS KUPON konkursu na najnieprawdopodobniejsze głupstwo

numer 17 z dnia 26 kwietnia 1936 roku.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z N-ru 15-go.

NA WYŚCIGACH.

Wyścig jest wykonalny wtedy, gdy jeźdźcy dokonają zamiany koni.

CYFRY, CYFRY.

Najmniejszą możliwą liczbą jest 3.333,377.733, która jest podzielona przez 3 i przez 7, a suma jej cyfr (42) również dzieli się bez reszty przez 3 i 7. Musi więc być najmniej trzy siódemki i siedem trójek.

DODAWANIE I MNOŻENIE.

Jeśli pomnożymy 497 przez 2, otrzymamy 994. Jeśli dodamy 2 do 497, otrzymamy 499, w obu wypadkach te same cyfry. Również 263 pomnożone przez 2 lub dodane do 2, daje 526 lub 265.

TAJEMNICA ZEGARA.

Dwadzieścia sześć minut.

KOLOROWE JAJKA.

Jedna wnuczka dostała np. 2 niebieskie jajka (10 zł), 4 czerwone (12 zł) i 2 żółte (2 zł), a każda z dwóch pozostałych 3 niebieskie (15 zł), 2 czerwone (6 zł) i 3 żółte (3 zł).

DORADCY MILJONERA.

Mr. Bandervildt, chcąc mieć dobrego finansowego doradcę, winien był wybrać Kocha, chociażby go to więcej kosztowało, gdyż pensja 16.000 dolarów, wzrastająca o 2.000 rocznie, nie jest tak korzystna, jak 5.000 dolarów półrocznie z podwyżką 500 co pół roku.

Oto jak przedstawiałyby się dochody panów Ocha i Kocha:

	Och	Koch
Pierwsze sześć miesięcy	5.000	5.000
Drugie sześć miesięcy	5.000	5.500
Razem w pierwszym roku	10.000	10.500
Trzecie sześć miesięcy	6.000	6.000
Czwarte sześć miesięcy	6.000	6.500
Razem za dwa lata	22.000	23.000

i tak dalej.

WGŁĄB PUSTYNI.

Dziewięciu podróżników: A, B, C, D, E, F, G, H, I przebywa wspólnie 40 mil, zużywając zawartość swych tanków. Teraz A rozdaje każdemu z ośmiu pozostałych po jednym galonie, dziewiąty zaś bak zużywa na powrót. Pozostałych ośmiu przebywa dalszych 40 mil, B rozdaje po jednym galonie siedmiu towarzyszom i 2 pozostałe zużywa na powrót. Ekspedycja posuwa się 40 mil dalej, C rozdaje każdemu z sześciu podróżników po jednym galonie i wraca, spalając pozostałe 3 galony. W dalszym ciągu tych sześciu przebywa 40 mil, skolei D rozdaje każdemu z pozostałej piątki po jednym galonie i wraca. Czterech pozostałych przejeżdża 40 mil, F rozdaje wszystkim trzem po jednym galonie i wraca. Znów 40 mil i G powraca, dawszy każdemu z dwóch pozostałych po jednym galonie. Ci dwaj jadą dalszych 40 mil, H daje ostatniemu 1 galon, a osiem baków zużywa na powrót. Nakoniec ostatni I przebywa ostatnie 40 mil i teraz ma jeszcze 9 galonów na drogę powrotną. Tak więc I sięgnął 360 mil wgłąb pustyni — największy dystans w prostej linji, na jaki można się zapuścić przy takich warunkach.

ARYTMETYKA.

Najmniejsza liczba, spełniająca podane warunki, jest 68.

DOBRY KAWAŁ.

Po upływie dziesięciu dni dowcip znało 59,049 osób. Pierwszego dnia były wtajemniczone 3 osoby.

Drugiego dnia	$3 + 6 = 9 = 3^2$
Trzeciego dnia	$9 + 18 = 27 = 3^3$
Czwartego dnia	$27 + 54 = 81 = 3^4$
Dziesiątego dnia	$3^{10} = 59.046$.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

15. Z KRONIKI KRYMINALNEJ.

„W związku z rozwojem chemji syntetycznej i wzrastającą łatwością zdobywania bardziej subtelnych trucizn, ilość niewykrytych morderstw wzrasta z 17,2% w roku 1920 na 37,9% w roku 1930".

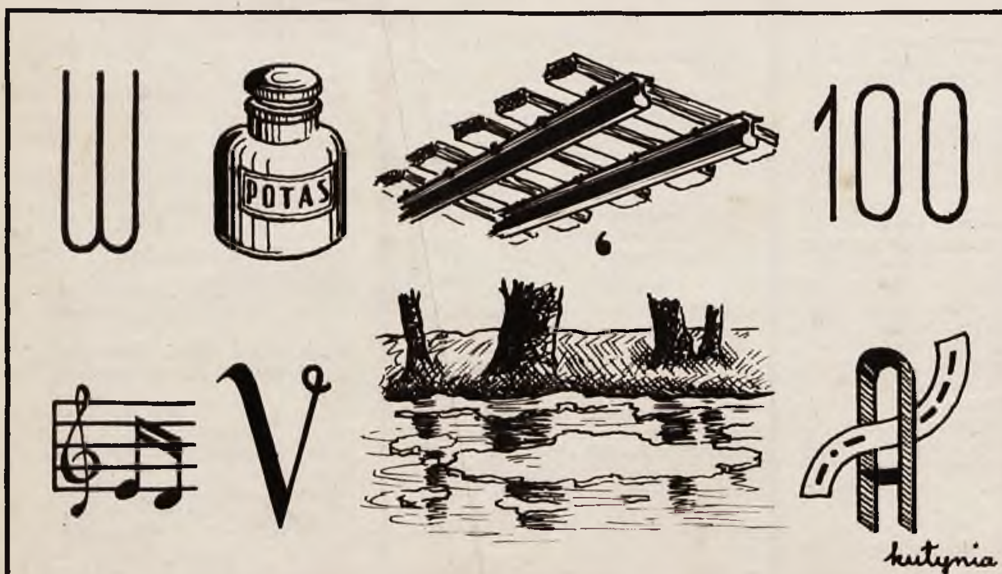
Czy to statystyczne zestawienie zawiera w sobie coś nieprawdopodobnego?

18. DZIWNE POKREWIEŃSTWO.

Pani Genowefa przeglądała album rodzinnych fotografij swej nowej znajomej, pani Kunegundy. Na jedno z jej pytań pani Kunegunda dała następującą odpowiedź: „Jak pani wie, nie mam córek; tej osoby córki syn był ojcem mojej wnuczki". W jakiem pokrewieństwie była owa osoba do zapytanej?

REBUS.

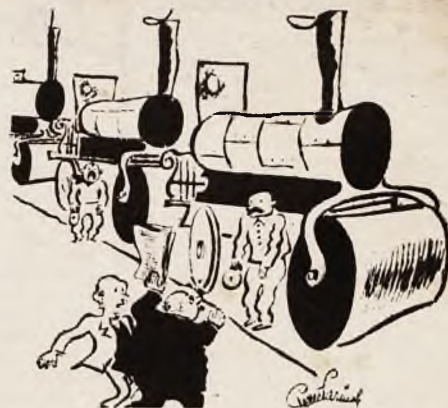
Ułożył Edward Kutynia, Opatów.



Zamieszczony powyżej rebus da nam po rozwiązaniu zdanie, odnoszące się do Krakowa i jego aktualności.

HUMOR ZAGRANICZNY

STRASZNA OMYŁKA



Człowiek, który daje ogłoszenie do gazet: — Straszne! Ogłoszenie moje, w którem poszukiwałem stenotypistek z własną maszyną do pisania, zostało pomieszane z ogłoszeniem przedsiębiorstwa poszukującego robotników do parowego walca drogowego!

(Ric et Rac)

DZIENNIKARZE Z EPOKI KAMIENNEJ



Pierwszy dziennikarz: — Cóż pan robi z temi wszystkiemi rękopisami? Dlaczego pan ich nie odda w redakcji?

Drugi dziennikarz: — Wie pan, mam zamiar zbudować sobie dom i dlatego je chowam!...

(Rire)

PIERWSZA PRÓBA JAZDY KONNEJ



Jeździec do trenera: — Panie, panie! Czy ten koń u licha dostał czkawki?!...

(Ric et Rac).

NA SCENIE.

Korzystając z gościny Ludwika Solskiego, krakowski Teatr im. J. Słowackiego gra obecnie „Dożywocie" Fredry, w którem Solski w roli Łatki stwarza jedną ze swych najlepszych kreacyj. Przedstawienie krakowskie jest doskonałe w stylu fredrowskim, a wszystkie główne role, nawet epizody, otrzymały trafną obsadę. Obok Ludwika Solskiego świetnie grają Mieczysław Węgrzyn, sympatyczny i bardzo stylowy Birbancki, Tadeusz Burnatowicz, który w roli Orgona daje typ rasowego szlagona, Władysław Woźnik, kapitalny jako Twardosz, oraz Tadeusz Kondrat, tryskający humorem Filipek. Inne role również mają dobrą obsadę w osobach Brylińskiej, Szuberta, Białkowskiego, Staszewskiego i in. „Dożywocie" otrzymało wzorową oprawę sceniczną dyr. Frycza.

Sztuki wprowadzone do repertuaru polskiego przez teatr krakowski, ukazują się obecnie niemal równocześnie na dwóch scenach poznańskich. **Teatr Nowy pod reżyserją Karola Borowskiego** przygotowuje sztukę z życia Jezuitów **„Pierwszy legjon"**, Teatr zaś **Polski gra obecnie** komedję Amiela **„Trzy asy i jedna dama"**. Dwie główne role kobiece grają Ludwiżanka i Żbikowska, „trzema asami" są Hańcza, Kierczyński i Fluciński. Krytyka specjalnie podkreśla świetnie skomponowane i smaczne dekoracje Zygmunta Szpingiera, które oklaskiwane są przy podniesieniu kurtyny.



Jadwiga Fontanówna, jako bohaterka „Rozkosznej dziewczyny".

W Bydgoszczy Teatr Miejski grą obecnie komedję muzyczną Benatzky'ego **„Rozkoszna dziewczyna"**, a tytułową rolę z właściwym sobie wdziękiem i artyzmem odtwarza Janina Fontanówna, mając za partnerów Peteckiego i Rewkowskiego.

Teatr Miejski w Łodzi gra z dużem powodzeniem sztukę Fodora **„Matura"**, która już w kilku miastach witana jest gorąco przez publiczność. „Maturę" przygotował w Łodzi reżyserskо dr Bujański, wszyscy grają bardzo dobrze, a zwłaszcza Szletyński (profesor matematyki), Dywińska (Katarzyna Seidl) i Chojnacka, która rolą starej pokracznej nauczycielki zdobyła sobie największe uznanie.

„Maturę" gra także obecnie ze zrozumiałem powodzeniem, **Teatr Miejski w Wilnie**, gra ją także **Teatr Nowy w Poznaniu**, nie schodzi ona z afisza i w Krakowie. „Matura" i „Trafika pani generałowej" to dwa największe sukcesy kasowe teatrów w bieżącym sezonie. Rzecz znamienna, że autorami obu sztuk są Węgrzy. Jaka szkoda, że żaden z autorów polskich nie cieszy się taką popularnością. **(swb).**

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

Czar, folklor i życie Huculszczyzny mało są znane. Nie weszły jeszcze tak do literatury, jak Podhale, nie mają jeszcze takich epików jak Witkiewicz i Tetmajer. Pierwszą próbą na większą miarę stworzenia epopei o Huculszczyźnie jest książka **Stanisława Vincez „Na wysokiej połoninie"** (nakł. „Rój"). Książka ta ma się składać z trzech tomów. Ukazał się niedawno pierwszy. Celem autora, jak sam wyznaje, jest chęć zrekonstruowania, skoncentrowania i ułożenia w cykle starej epiki huculskiej, ponadto usiłuje autor sam dalej tworzyć w tym duchu.

Książka Vinceza jest niemal dla każdego z nas cennem odkryciem uroków i tajemnic baśniowego i rzeczywistego życia Huculszczyzny. Odsłania skarby folkloru, maluje plastycznie dzieje Huculszczyzny, życie wspaniałych gazdów, trafnie odtwarza nastrój dum o jej legendarnych już przedstawicielach.

Krytyka literacka niech się spiera, czy w osobie autora książki „Na wysokiej połoninie" Huculszczyzna zyskała Tetmajera, czy książka ta spełni tę rolę, co „Na skalnem Podhalu". Przypuszczać należy, że raczej nie. Jednym z największych walorów dzieła Tetmajera jest język i gwara góralszczyzny, odtworzona wiernie i wprowadzona do literatury. Tego Vincez nie mógł zrobić, bo książka byłaby niezrozumiała; musiał gwarę huculską tłumaczyć na język literacki.

Ale „szary czytelnik", to jest ten, dla którego przedewszystkiem pisze i wydaje się książki, otrzymuje dzieło trwałej wartości.

• • •

Twórcą polskiej fotografiki i entuzjastą fotografji artystycznej jest **Jan Bułhak**, obecnie profesor fotografji artystycznej na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Bułhak święcił niedawno 30-lecie swej pracy w dziedzinie fotografiki, której owocem przedewszystkiem albumy o Polsce, ich 150 tomów, zawierających po 50 fotografij każdy. Z dzieł Bułhaka uczyć się można wiedzy o Polsce, o tej Polsce pięknej i szlacheckiej, o wsi polskiej, o zabytkach, które nierzadko dziś już giną lub należą do przeszłości.

Bułhak wydał ostatnio w artystycznej szacie graficznej książkę p. t. **„Estetyka światła"**, stanowiącą zbiór jego rozpraw o zasadach fotografiki, o umiejętności operowania kamerą, kwasami itd. Bułhak każe wszystkim entuzjastom fotografji artystycznej, której równorzędność ze sztuką graficzną jest dla niego rzeczą uznaną, fotografować sercem, gdyż „narzędzie jest sprawą uboczną, człowiek — sprawą najważniejszą." Nie od aparatu zależy dobroć i piękność zdjęcia. Bułhak w dziełach polskich fotografów chce widzieć pierwiastki narodowe, zwraca uwagę na estetykę zdjęć, czego podstawą jest umiejętne szukanie światła.

„Poznawajcie czar światła!" — woła za Leonardem Missone Jan Bułhak, a apel jego ma zastosowanie nietylko we fotografice. **(swb).**



Niedziela — 26. IV.

9.45: Transmisja uroczystości dorocznego odpustu św. Wojciecha w Gnieźnie, połączona z przeniesieniem relikwij bł. Bogumiła.
12.15: Poranek muzyczny z Wilna.
14.00: „Dzięki Ci Matko za Wilno" (z cyklu: „Opowieści żołnierskie").
14.20: „Wielcy dyrygenci świata" — płyty.
16.00: „Łamigłówki".
16.50: „Ziemia gnieźnieńska i jej lud" — transmisja z Gniezna.
17.15: Premjera niewydanej fraszki Henryka Sienkiewicza p. t. „Autorki".
18.00: „Podwieczorek przy mikrofonie".
20.00: Koncert w wyk. Orkiestry Symfon. P. R. pod dyr. M. Mierzejewskiego z udziałem Loli Strasberżanki.
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30: „Podróżujmy" — „Wisła gdańska" — feljeton wygł. Mieczysław Zydler.
22.00: Powtórzenie zagadki muzycznej z dn. 22. IV.
22.30: Koncert Małej Orkiestry P. R.

Poniedziałek — 27. IV.

12.25: Muzyka salonowa w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
15.30: Uczniowie Stanisława Moniuszki — koncert.
16.15: „Z piosenką przez Lwów", Koncert ork. lwowskiego Koła Mandolinistów.
16.45: „Na miejscu zbrodni" i „Nowy służący" — skecze Tristana Bernarda.
17.00: „Kobiety zasłużone": „Dr. Zofja Daszyńska-Golińska" — pogadanka.
17.23: Arje i pieśni w wykonaniu Janiny Ziółkowskiej.
18.00: Recital fortepianowy Mieczysława Hoszowskiego.
18.30: „Trochę telewizji" — audycja dla dzieci.
20.00: Audycja strzelecka p. t. „Rehabilitacje".
20.30: Tola Korjanówna w swoim repertuarze.
21.00: „Bracia Kiepurowie" — płyty.
21.30: Wieczór literacki: „Łódź w oczach pisarzy".
22.00: Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Henri Pensis'a.
23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek — 28. IV.

12.15: Audycja dla szkół — „Smutno niedzieli, gdy się w piątek weseli".
12.30: Wycieczka w krainę muzyki przeszłości.
15.30: Rapsodje węgierskie — Liszta, z płyt.
17.00: „Skarby Polski": „Siły wodne i elektryfikacje Polski" — odczyt wygłosi inż. Jerzy Taylor.
17.15: Muzyka operetkowa w wyk. Małej Ork. P. R. z udziałem K. Dembowskiego.
18.30: „W obronie polszczyzny mówionej i pisanej" — szkic literacki wygłosi Jan Miernowski.
20.00: „Wesoła historjozofja" — feljet. satyryczny Z. Kleszczyńskiego.
20.10: Koncert symfoniczny z Łodzi.
22.30: „Fantazje z różnych stron świata".
23.05: Muzyka taneczna.

Środa — 29. IV.

12.30: Koncert w wykonaniu zespołu Tadeusza Seredyńskiego.
15.30: Rapsodja węgierska Fr. Liszta — płyty.
16.00: „Piosenki dla dzieci" w wyk. Chóru Eryana.
16.20: Recital skrzypcowy Tomasza Jaworskiego.
17.20: Fragmenty z operetek — płyty.
18.10: Piosenki w wykonaniu Oli Obarskiej (Transmisja z Wilna).
19.25: „Uprawa warzyw na własny użytek" — pogadanka.
20.00: Cały świat śpiewa piosenki.
21.00: XXXIV audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.40: „Stanisław Brzozowski" (w 25-lecie zgonu) wygł. Kazimierz Wyka.
21.55: Audycja z okazji narodowego święta Japonji.
22.15: Muzyka taneczna.

Czwartek — 30. IV.

13.00: Muzyka.
15.30: Władysław Eiger: Wiązanka melodyj rewjowych i filmowych.
16.00: „O tem, jak małpa skubała misia za ogon" — opowiadanie dla dzieci.
16.15: Zygmunt Stojowski: Sonata E-Dur op. 37.
17.00: Odczyt p. t. „Wojsko szkołą charakterów".
17.15: Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej.
18.10: Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana.
20.00: Koncert muzyki lekkiej.
21.00: Premjera słuchowiska oryginalnego p. t. „Cztery nie mieści się w siedmiu".
21.35: „Nasze pieśni" — III audycja z cyklu „Stanisław Moniuszko, pieśniarz".
22.00: Muzyka salonowa.
23.05: Muzyka taneczna.

Piątek — 1. V.

12.45: Jazzowe utwory fortepianowe.
15.30: Duet fortepianowy.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Koncert w wyk. Zespołu Tadeusza Seredyńskiego.
16.45: „Przyroda w maju" — pogadanka dla dzieci starszych.
17.20: Kazimierz Sikorski: Sekstet smyczkowy op. 6.
18.00: Piosenki w wyk. Hanny Brzezińskiej i Tadeusza Olszy.
19.50: Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami Polskiego Radja.
20.00: Koncert symf. z Filharm. Warszawskiej.
22.50: Muzyka taneczna z dancingu „Café-Club" w Warszawie.

Sobota — 2. V.

12.25: Koncert Orkiestry Kameralnej z Wilna.
14.30: Śpiewaczki koloraturowe.
15.00: „Przyjacielska usługa" — nowela.
15.30: Zespół Niny Mańskiej.
16.50: Recital fortepianowy Kleina.
17.15: Arje i pieśni w wykonaniu A. Matjasiak.
18.00: Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy.
21.30: „Uśmiech Poznania" p. t. „W górę, w górę miły bracie".
22.00: Koncert w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. Olgierda Straszyńskiego z udziałem Ireny Gadejskiej.
23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.